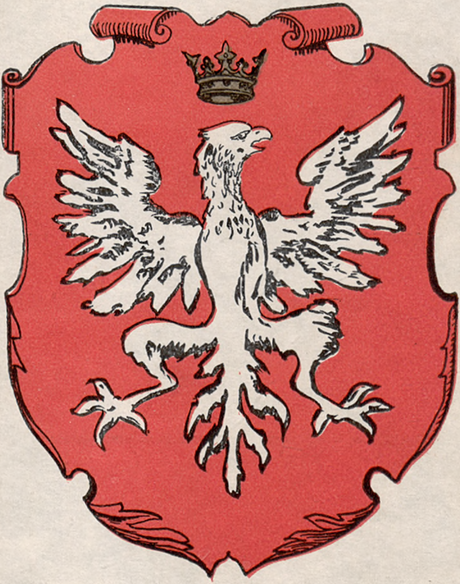
Henryk Sienkiewicz



POTOP

IX



Szymon St. Deptuła

HENRYK SIENKIEWICZ

POTOP

POWIEŚĆ

WYDANIE Z OBJAŚNIENIAMI I MAPAMI

TOM IX

LWÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
1936

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ
ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
WE LWOWIE

15/1936
Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
pod zarządem Adama Wierzbickiego

ROZDZIAŁ I.

W tej chwili, gdy król mówił, iż wojewoda wileński może już stoi przed sądem Bożym, mówił jakoby duchem proroczym, bo w owym czasie sprawa tykocińska była już rozwiązana.

Dnia 25 grudnia pan wojewoda witebski Sapieha tak był już pewien zdobycia Tykocina, że sam do Tyszowiec wyjechał, poleciwszy panu Oskierce prowadzenie dalszych prac oblężniczych. Z ostatnim szturmem kazał na powrót swój, rychło mający nastąpić, czekać; zebrawszy zaś co znaczniejszych oficerów, tak mówił:

— Doszły mnie słuchy, iż między towarzystwem jest zamiar zaraz po zdobyciu zamku księcia wojewodę wileńskiego na szablach roznieść... Owóż, gdyby się zamek pod mą niebytność poddał, co być może, oświadczam waszmościom, iż najsurowiej zakazuję na zdrowie księcia następować. Odbieram ci ja wprawdzie listy od takich osób, o których się waszmościom ani śni, abym dostawszy go, nie żywił... Ale ja nie chcę słuchać tych rozkazów, co czynię nie z żadnej kompasji, bo jej zdrajca nie wart, ale że nad gardłem jego nie mam prawa i wolę go przed sejm na sąd po-

stawić, aby dla potomnych był stąd przykład, że ni wielkość rodu, ni żadne urzędy, zdrady takowej i winy odkupić, ani przed karą publiczną zasłonić go nie zdołają.

W ten sens mówił pan wojewoda, jeno jeszcze dłużej, bo o ile był zacny, o tyle miał tę słabość, że mając się za mówcę, lubił przy każdej okazji obszernie się wysławiać i słuchał z lubością własnych słów, przymykając przy piękniejszych sentencjach oczy.

— To muszę sobie chyba dobrze prawą rękę w wodzie wymoczyć, — odparł na to pan Zagłoba, — gdyż okrutnie mnie swędzi... Wszelako to tylko powiem, że gdyby Radziwiłł mnie w swoją moc dostał, pewnieby z moją głową do zachodu słońca nie czekał. Wie on dobrze, kto w znacznej części to sprawił, że go wojska opuściły; wie dobrze, kto go ze Szwedami nawet poróżnił... Ale zato ja nie wiem, czemu mam być pobłażliwszy dla niego, niźli on byłby dla mnie?

— Bo nie przy waści komenda i słuchać musisz! — odrzekł z powagą wojewoda.

— Że słuchać muszę, to prawda, ale dobrze czasem i Zagłoby posłuchać... Śmiele też to mówię, że gdyby Radziwiłł mnie posłuchał, gdym go do obrony ojczyzny ekscytował, nie byłby dziś w Tykocinie, jeno w polu, na czele wszystkich wojsk litewskich.

— Zali to waści się zdaje, że buława w złych rękach?

— Tego nie godzi mi się powiedzieć, bom jij sam w te ręce włożył. Miłościwy pan nasz, Johannes Casimirus, ma tylko mój wybór potwierdzić, nic więcej.

Uśmiechnął się na to wojewoda, bo lubił pana Zagłobę i jego krotofile.

— Panie bracie, — rzekł, — tyś zgnębił Radziwiłła, tyś mnie uczynił hetmanem... i wszystko twoja zasługa. Pozwólże mnie teraz jechać spokojnie do Tyszowiec, aby też i Sapieha mógł w czemś przysłużyć się ojczyźnie.

Pan Zagłoba wziął się w boki i zamyślił się przez chwilę, jakby rozważał, czy ma pozwolić, czy nie pozwolić; nakoniec okiem łysnął, głową kiwnął, i rzekł z powagą:

— Jedź, wasza miłość, spokojnie.

— Bóg zapłać za permisję! — odpowiedział, śmiejąc się, wojewoda.

Zawtórowali wodzowi śmiechem inni oficerowie, on zaś istotnie począł się zbierać, bo kolasa stała już pod oknami gotowa, więc żegnał się ze wszystkimi, dając każdemu instrukcję, co ma pod jego niebytność czynić; wreszcie zbliżywszy się do pana Wołodyjowskiego, rzekł:

— Waść, na wypadek zdania się zamku, będziesz mi odpowiadał za zdrowie wojewody, tobie tę funkcję powierzam.

— Wedle rozkazu! włos mu z głowy nie spadnie! — odrzekł mały rycerz.

— Panie Michale, — rzeki <lo niego pan Zagłoba po odjeździe wojewody, — ciekaw jestem, jakie to osoby nalegają na naszego Sapja, by Radziwiłła, dostawszy, nie żywił?

— Skąd mam wiedzieć! — odrzekł mały pan.

— Czyli powiadasz, że czego ci cudza gęba do ucha nie powie, tego ci własny dowcip nie podszepnie. Prawda jest! Ale muszą to być znaczne jakieś persony, skoro mogą panu wojewodzie rozkazy dawać.

— Może sam król?

— Król? Króla gdyby pies ukąsił, zarazby mu przebaczył i jeszczeby mu sperkę dać kazał. Takie już u niego serce!

— Nie będę się o to z waćpanem spierał, ale przecie powiadali, że na Radziejowskiego bardzo się zawziął?

— Naprzód, każdemu przytrafi się zawziąć, exemplum: moja na Radziwiłła zawziętość; po wtóre, jakże to się zawziął, kiedy zaraz synów jego wziął w opiekę, że i ojciec lepszyby nie był! Złote to serce, i mniemam, że prędzej to królowa jejmość przeciw gardłu radziwiłłowskiemu instancję wnosi. Godna pani, ani słowa, ale białogłowska u niej fantazja, a to wiedz, że gdy się białogłowa przeciw tobie zaweźmie, choćbyś się w szparę w podłodze skrył, jeszcze cię igłą stamtąd wydłubie.

Na to westchnął pan Wołodyjowski i odparł:

— Zacoby się tam która miała na mnie zawzinać, skorom żadnej nigdy w życiu nie zahaczył!

— Ale radbyś, ale radbyś! Dlatego to, choć w jeździe służysz, tak zapamiętale na mury tykocińskie piechotą leziesz, bo myślisz, że tam nietylko Radziwiłł, ale i Billewiczówna siedzi. Znają cię, niecnoto! Jakże? jeszcześ jej sobie z głowy nie wybił?

— Był taki czas, żem ją sobie całkiem z głowy wybił, i sam Kmicic, gdyby tu był obecny, musiałby przyznać, żem po kawalerski! sobie postąpił, nie chcąc iść wbrew jej sentymentom, raczej swoją konfuzję w niepamięć puszczając; ale tego nie ukrywam, że jeśli ona jest teraz w Tykocinie, jeśli mi Bóg pozwoli znów ją z opresji ratować, to będę w tern widział wyraźną wolę Opatrzności. Na Kmicica baczyć nie potrzebuję, bom mu w niczem nie powinien, a żywię we mnie nadzieja, iż gdy dobrowolnie od niej odszedł, to go musiała do tej pory zapomnieć i nie przygodzi mi się, co się dawniej przygodziło.

Tak rozmawiając, doszli do kwatery, w której zastali dwóch panów Skrzetuskich, pana Rocha Kowalskiego i pana dzierżawcę z Wąsoszy.

Nie tajno było w wojsku, poco pan wojewoda witebski pojechał do Tyszowiec, więc rycerze cieszyli się wzajem, że powstaje związek tak cnotliwy na obronę ojczyzny i wiary.

— Inny już wiatr w całej Rzeczypospolitej wieje, — rzekł pan Stanisław, — a, chwalić Boga, Szwedom w oczy.

— Od Częstochowy on powiał — odrzekł na to pan Jan. — Wczoraj były wiadomości, że się klasztor jeszcze trzyma i coraz mocniejsze szturmy odpiera... Nie daj Matko Najświętsza, by nieprzyjaciel mógł pohańbić Twój przybytek!

Tu pan Rzędzian westchnął i rzekł:

— Bo oprócz obrazy Boskiej, ileby to zacnych skarbów poszło w nieprzyjacielskie ręce! Jak człek o tem pomyśli, to mu i strawa przez gardło nie clice przechodzić.

— Wojsko aż się do szturmu rwie, że trudno ludzi utrzymać — rzekł pan Michał. — Wczoraj Stankiewiczowa chorągiew bez komendy i bez drabin ruszyła, bo powiadają tak: jak z tym zdrajcą skończymy, to Częstochowie na odsiecz pójdziem. I co który Częstochowę wspomni, to zaraz wszyscy poczynają zgrzytać i w szable trzaskać.

— Bo i poco nas tu tyle chorągwi stoi, kiedy i połowy byłoby na Tykocin dosyć — rzecze pan Zagłoba. — Upór to pana Sapiehy, nic więcej. Nie clice mnie słuchać, żeby pokazać, jako i bez mojej rady coś potrafi, a to sami widzicie, że jak tylu ludzi jedną zamczynę oblega, to tylko sobie nawzajem przeszkadzają, bo dostępu dla wszystkich niemasz.

— Eksperjencja wojskowa przez waćpana mówi, nie można rzec! — odpowiedział pan Stanisław.

— Aha! co? Mam głowę na karku?

— Wuj ma głowę na karku! — zawołał nagle pan Roch, i nastroszywszy wąsy, począł poglądać po obecnych, jakby szukając takiego, coby mu zaprzeczył.

— Ale i pan wojewoda ma głowę, — odrzekł pan Jan Skrzetuski, — i jeśli tyle chorągwi tu stoi, to dlatego, że jest obawa, żeby książę Bogusław z odsieczą bratu nie przybył.

— To posłać z parę lekkich chorągwi na pustoszenie Prus elektorskich, — rzekł Zagłoba, — skrzyknąć kupę ludu na ochotnika między gminem. Sambym pierwszy poszedł pruskiego piwa popróbować.

— W zimę piwo na nic, chyba grzane — rzekł pan Michał.

— To dajcie wina, albo gorzałki lub miodu — odpowiedział Zagłoba.

Inni również okazali ochotę, więc pan dzierżawca z Wąsoszy zajął się tą sprawą i wkrótce kilka gąsiorków stanęło na stole. Uradowały się na ten widok serca, i rycerze poczęli do siebie przepijać, coraz to na inne intencje wznosząc kielichy.

— Na pohybel pludrakom, aby nam tu bochenków długo już nie łuszczyli! — rzekł pan Zagłoba; — niech sobie szyszki w Szwecji żrą!

— Za zdrowie majestatu: króla jegomości i królowej! — wniósł Skrzetuski.

— I tych, którzy wiernie przy majestacie stali! — dodał Wołodyjowski.

— Zatem nasze zdrowie!

— Zdrowie wuja! — huknął pan Roch.

— Bóg zapłać! W ręce twoje, a wytrząśnij do dna w gębę... Jeszcze się Zagłoba nie ze wszystkiem zestarzał! Mości panowie! abyśmy co prędzej tego jaźwca z jamy wykurzyli i pod Częstochowę ruszyć mogli!

— Pod Częstochowę! — krzyknął Roch — Pannie Najświętszej w sukurs!

— Pod Częstochowę! — zawołali wszyscy.

— Skarbów jasnogórskich przed poganami bronić! — dodał Rzędzian.

— Którzy symulują, że w Pana Jezusa wierzą, chcąc bezecność swą koloryzować, a w rzeczy, jakem to już powiadał, do miesiąca jako psi wyją i na tern cała ich wiara polega.

— I tacy to ręce na splendory jasnogórskie podnoszą!

— W sednoś waszmość utrafi!, mówiąc o ich wierze, — rzekł Wołodyjowski do Zagłoby, — bo ja sam słyszałem, jak do miesiąca wyli. Powiadali później, że to ich luterskie psalmy, ale to pewna, że takie psalmy i psi śpiewają...

— Jakże to? — rzekł pan Roch, — samiż między nimi tacy synowie?

— Niemasz innych! — rzekł z głębokiem przekonaniem pan Zagłoba.

— I król nie lepszy?

— Król ich gorszy od wszystkich. On to tę wojnę podniósł umyślnie, aby mógł prawdziwej wierze dowoli po kościołach bluźnić.

Na to podniósł się pan Roch, mocno już podpiły, i rzekł:

— Jeżeli tak, tedy jako mnie waszmościowie widzicie, jakem Kowalski! tak w pierwszej bitwie prosto na króla szwedzkiego skoczę! Choćby też stał w największej gęstwie, nic to! Moja śmierć albo jego!... a taki kopją się do niego złożę... Miejcie mnie waćpanowie za kpa, jeśli tego nie uczynię!

To rzekłszy, złożył pięść i chciał w stół grzmotnąć. Byłby przytem potłukł szklanice, gąsiory i stół rozłupał, lecz pan Zagłoba skwapliwie go za garść uchwycił i w następujące ozwał się słowa:

— Siadaj Rochu i daj spokój. Wiedz i o tern, że nie dopiero cię będziemy za kpa mieli, gdy tego nie uczynisz, ale dopiero cię za kpa przestaniemy mieć, jeżeli to uczynisz. Nie rozumiem też, jak 6ię będziesz mógł kopją złożyć na króla szwedzkiego, w liusarji nie służąc?

— To się na poczet zdobędę i do kniazia Połubińskiego chorągwi się wpiszę. I ojciec też mnie wspomoże.

— Ojciec Roch?

— A jakże!

— Niechże cię pierwej wspomoże, a teraz szkła nie rozbijaj, bo pierwszybym ci za to głowę rozbił. 0 czemżeśmy to mówili mościwi moi?... Aha! o Częstochowie... Luctus mnie stoczy, jeżeli w porę świętemu miejscu na ratunek nie przyjdziemy... Luctus mnie stoczy, mówię wam! A wszystko przez tego zdrajcę Radziwiłła i przez rację fizykę [1] sapieżyńską.

— Waćpan na wojewodę nic nie mów! Zacny pan! — ozwał się mały rycerz.

— To czemu obydwiema połami Radziwiłła przykrywa, kiedy jednej byłoby dosyć? Blisko dziesięć tysięcy ludzi pod tą tam budą stoi, najgrzeczniejszej jazdy i piechoty. Niezadługo w całej okolicy i sadze w kominach wyliżą, bo co było na kominach, to już zjedli.

— Nam w racje starszych nie wchodzić, jeno słuchać!

— Tobie nie wchodzić, panie Michale, ale nie mnie, bo mnie połowa dawnego radziwiłłowskiego wojska regimentarzem wybrała i byłbym już za dziesiątą granicę Carolusa Gustawa wyźenął, gdyby nie ona nieszczęsna modestja, która mi kazała buławę panu Sapieże w ręce włożyć. Niechże sobie ze swojem kunktatorstwem da spokój, i niech patrzy, bym nie odebrał tego, com dał.

— Jeno po napiciu się taki z waści rezolut! — rzekł pan Wołodyjowski.

---

[1] naciągnięte dowodzenie słuszności.

— Tak powiadasz? Ano, to obaczysz! Dziś jeszcze pójdę między chorągwie i krzyknę: Mości panowie! komu wola za mną pod Częstochowę iść, nie tu sobie łokcie i kolana o tykocińskie wapno wycierać, — to proszę za mną! Kto mnie regimentarzem kreował, kto mnie władzę dawał, kto dufał, że co uczynię, to ku pożytkowi ojczyzny i wiary będzie, ten niech obok mnie stawa. Piękna rzecz zdrajców karać, ale stokroć piękniejsza Najświętszą Pannę, patronkę tej Korony i Matkę naszą, z pod opresji i jarzma heretyckiego ratować.

Tu pan Zagłoba, któremu już od niejakiego czasu opar unosił się z czupryny, zerwał się z miejsca, skoczył na ławę i począł krzyczeć, jakby znajdował się przed zebraniem:

— Mości panowie! Kto katolik, kto Polak, kto nad Najświętszą Panną ma kompasję, za mną!... W sukurs Częstochowie!

— Idę! — zawołał, wstając, Roch Kowalski.

Zagłoba popatrzył chwilę na obecnych, a widząc zdumienie i milczące twarze, zlazł z ławy i rzekł:

— Nauczę ja Sapja rozumu!... Szelmą jestem, jeśli do jutra połowy wojska z pod Tykocina nie zerwę i pod Częstochowę nie poprowadzę!

— Dla Boga! Pomiarkuj się ojciec! — rzekł pan Jan Skrzetuski.

— Szelmą jestem! mówię ci! — powtórzył pan Zagłoba.

Oni zaś zlękli się, aby istotnie tego nie uczynił, bo mógł. W wielu chorągwiach były szemrania na tykocińską mitręgę, a ludzie istotnie zgrzytali zębami, myśląc o Częstochowie. Dość było iskrę na owe prochy rzucić, a cóż dopiero, gdyby ją rzucił człek tak wzięty i takiej niezmiernej powagi rycerskiej, jak Zagłoba. Przedewszystkiem większa część wojsk sapieżyńskich składała się z nowozaciężnych, a zatem do dyscypliny wojennej nie przywykłych i do uczynków na własną rękę skorych, a ci poszliby niezawodnie pod Częstochowę za Zagłobą, jak jeden człowiek.

Więc przelękli się tego przedsięwzięcia obaj Skrzetuscy, a Wołodyjowski zawołał:

— Ledwie się wojska trochę największym trudem wojewodzińskim zebrało, ledwie jest jakowaś siła na obronę Rzeczypospolitej, a już czyjeś warcholstwo chce chorągwie rozrywać, do nieposłuszeństwa przywodzić. Siłaby Radziwiłł zapłacił za takową radę, bo na jego młyn ta woda. Jak waćpanu nie wstyd gadać nawet o takiej imprezie!

— Szelmą jestem, jeśli tego nie uczynię! — odparł Zagłoba.

— Wuj tak uczyni! — dodał Roch Kowalski.

— Cicho ty koński łbie! — huknął na niego pan Michał.

Pan Roch oczy wytrzeszczył, gębę zamknął i wyprostował się odrazu.

Wówczas Wołodyjowski zwrócił się do pana Zagłoby.

— A ja szelmę jestem, — rzeki, —■ jeżeli jeden człowiek z mego pułku z waćpanem ruszy, a chcesz wojsko psować, tedy ci powiem, że pierwszy na twoich wolentarzów uderzę!

— Poganinie, Turku bezecny! — rzekł na to Zagłoba. — Jakże to? na rycerzy Najświętszej Panny będziesz uderzał? Gotóweś? Dobrze! Znają cię! Myślicie waćpanowie, że jemu o wojsko, albo o dyscyplinę chodzi? Nie! jeno Billewiczównę za marami tykocińskieimi zwietrzył. Dla prywaty i dla swawoli nie zawahasz się najsłuszniejszej racji odstąpić! Radbyś na dziewczynę fyrkał[1] i z nogi na nogę przesitępował, a jurzył[2] się! Ale nic z tego! Moja głowa w tern, że tam cię lepsi ubiegą, — choćby ten sam Kmicic, bo i on od ciebie nie gorszy.

Wołodyjowski spojrzał na obecnych, biorąc ich na świadectwo, jaka mu się krzywda dzieje. Następnie namarszczył się, myśleli, że gniewem wybuchnie, ale że był także poprzednio podchmielił, więc nagle wpadł w rozczulenie:

— Oto mi nagroda! — zawołał; — od wyrostka ojczyźnie służę, szabli z garści nie popuszczam! Ni mi chaty, ni mi żony, ni dzieci,

---

[1] parskał. [2] pałał pożądliwością.

sam człek jako kopja do góry głową sterczy. Najzacniejsi o sobie myślą, a ja, prócz ran w skórze, nie miałem innej nagrody, za to mi jeszcze prywatę zadają, ledwie nie zdrajcą być mienią.

To rzekłszy, jął ronić łzy na żółte wąsiki, zaś pan Zagłoba zmiękł odrazu i, otworzywszy ręce, zawołał:

— Panie Michale! Srodzem cię ukrzywdził! Katu mnie oddać za to, żem takiego wypróbowanego przyjaciela spostponował!

I padłszy sobie w objęcia, poczęli się całować i do piersi' wzajem przyciskać, zaczem i pili dalej na zgodę, a gdy już żal znacznie im z serc wyparował, rzekł Wołodyjowski:

— A nie będziesz wojska psował, swawoli wprowadzał, złego przykładu dawał?

— Nie będę, panie Michale! dla ciebie to uczynię!

— A, da Bóg, Tykocina dostaniem, to co komu do tego, czego ja za murami szukam. Co kto sobie ma ze mnie dworować, hę?

Uderzony tą kwestją, pan Zagłoba począł koniec wąsa do ust wkładać i zębami go przygryzać, nakoniec rzekł:

— Nie, panie Michale, kocham cię, jako źrenicę oka, ale ty sobie tę Billewiczównę z głowy wybij.

— A to czemu? — pytał zdziwiony pan Woło dy j owski.

— Urodna jest, assentior! [1] — rzekł Zagłoba, — ale to persona okazała i żadnej niemasz między wami proporcji. Chybabyś jej na ramieniu siadał, jako kanarek, i cukier z gęby wydziobywał. Mogłaby cię także jako kobuza [2] na rękawiczce nosić i na wszelkiego nieprzyjaciela puszczać, bo chociażeś mały, aleś instar [3] szerszenia zjadliwy.

— Już waćpan zaczynasz? — rzekł Wołodyjowski.

— Kiedym zaczął, to pozwólże mi i dokończyć: Jedna jest dla ciebie podwika jakoby stworzona, a to właśnie owa pestka... Jakże jej tam imię? Ta, z którą nieboszczek Podbipięta miał się żenić?

— Anusia Borzoboliata - Krasicńska! — zakrzyknął pan Jan Skrzetuski. — Toćże to dawny afekt Michałowy!...

— Czyste[4] ziarnko gryczane, ale gładka była bestyjka, jako kukiełka — rzekł, mlaskając wargami, pan Zagłoba.

Tu pan Michał zaczął wzdychać 'raz po razu i powtarzać to, co zawsze powtarzał, gdy ktoś o Anusi wspomniał:

— Co się z tern niebożątkiem dzieje?... Ba, ba! żeby się to ona znalazła!

— Jużbyś jej z rąk nie popuścił... I dobrzebyś uczynił, bo przy twojej kochliwości, pa-

---

[1] przyznaję. [2] drapieżnego ptaka, gatunek sokoła. [3] nakształt. [4] zupełnie jak.

nie Michale, może ci się przytrafić, że cię pierwsza lepsza koza złapie i na kozła przemieni. Dalibóg, w życiu nie widziałem, żeby ktoś taki był na afekta łasy. Powinieneś się był kurkiem urodzić, śmiecie pod przyźbami rozgrzebywać i „ko, ko, ko!“ na czubatki wołać.

— Anusia! Anusia! — powtarzał rozmarzony Wołodyjowski. — Bógby mi ją zesłał!... Ale może już jej na świecie zgoła niemasz, albo też zamąź poszła i dzieci wodzi...

— Coby.miała iść! Zielona to jeszcze była rzepa, gdym ją widział, a potem choć i doszła !, mogła się dotąd w stanie niewinności uchować. Po takim panu Longinie, nijako jej było lada chłystka brać... Z drugiej też strony, w tych wojennych czasach mało kto o żeniaczce myśli.

A pan Michał na to:

— Waćpan jej dobrze nie znałeś. Dziw, jak zacna... Ale taką już miała naturę, że nikogo nie przepuściła, żeby mu zaraz serca nie przeszyć... Taką juiż ją Pan Bóg stworzył. Nawet niższego stanu ludzi nie omijała: exemplum ów medyk księżnej Gryzeldy, Włoszysko, który się w niej zakochał naumór. Może tam za niego już poszła i za morze ją wywiózł...

— Nie powiadaj byle czego, panie Micha-

[1] dojrzała.

le! — zawołał z oburzeniem Zagłoba. — Medyk, medyk... Zaśby szlachecka córka, z zacnej krwi, miała pójść za człeka tak podłej kondycji?... Raz ci to już mówiłem! nie może być!

— I mnie samemu było na nią za to mroczno, bom sobie myślał: już też miary nie ma, skoro i procederników[1] bałamuci.

— Prorokuję ci, że ją jeszcze obaczysz — rzekł Zagłoba.

Dalszą rozmowę przerwało wejście porucznika Tokarzewicza, który przedtem w regimencie radziwiłłowskim służył, a po zdradzie hetmana wraz z innymi go odstąpił i teraz w pułku Oskierczynyim chorągiew nosił.

— Panie pułkowniku, — rzekł do Wołodyjowskiego, — będziem petardę [2] podsadzać.

— To już pan Oskierka gotów?

— Jeszcze dziś w południe był gotów i nie chce czekać, bo noc obiecuje się ciemna.

— To dobrze, — rzekł Wołodyjowski, — pójdziem obaczyć i ludziom też z muszkietami każę stanąć w gotowości, żeby z za bramy nie wypadli. Sarnże pan Oskierka będzie petardę podsadzał?

— Tak jest... Własną osobą... Siła i ochotnika z nim idzie.

—- Pójdę i ja! — rzekł Wołodyjowski.

---

[1] zajmujących się rzemiosłem. [2] pocisk wybuchający.

— I my! — zawołali dwaj Skrzetuscy.

— Ot! szkoda że stare oczy pociemku nie widzą, — ozwał się pan Zagłoba, — bo pewniebyni wam samym iść nie dał... Ale cóż! gdy się jeno zmroczy, już ani szablą mi się nie złożyć... Po dniu, po dniu, przy słońcu, to tam sitary lubi jeszcze ruszyć w pole. Dawajcie mi co najtęższych Szwedów, byle w południe.

— Ja zaś pójdę — rzekł, namyśliwszy 6ię, dzierżawca z Wąsoszy. — Gdy bramę wysadzą, pewnie wojsko hurmem do szturmu skoczy, a tam w zamku siła w sprzętach i klejnotach może być wszelakiej dobroci.

I wyszli wszyscy, bo -też się już mroczyło na dworze; został w kwaterze sam tylko pan Zagłoba, który przez chwilę nasłuchiwał, jako śnieg chrzęścił pod stopami odchodzących; potem zaś jął podnosić kolejno gąsiorki i patrzyć pod światło płonące na kominie, jeżeli się co jeszcze w którym zostało.

Tamci zaś szli ku zamkowi w pomroce i wietrze, który wstał od strony północnej i dął coraz silniej, wył, huczał, niosąc ze sobą tumany rozbitego w proch śniegu.

— Dobra noc do podsadzania petardy! — rzekł Wołodyjowski.

— Ale i do wycieczki — odrzekł pan Skrzetuski. — Musimy mieć pilne oko i muszkietników gotowych.

—■ Dałby Bóg, — rzekł pan Tokarze-

wicz, — żeby pod Częstochow;} była jeszcze większa zadymka. Zawszeć naszym w murach cieplej... Ale coby tam Szwedów na strażach pomarzło, toby pomarzło... Trastia ich maty mordowała!

— Straszna noc! — rzekł pan Stanisław; — słyszycie waćpanowie, jak wyje, — jakoby Tatarzy do ataku powietrzem szli?

— Albo jakby djabli requiem Radziwiłłowi śpiewali — dorzucił Wołodyjowski.

ROZDZIAŁ II.

W zamku zaś wielki zdrajca patrzył także w kilka dni później na zapadający na całuny śnieżne mrok i słuchał wycia wichru.

Dopalała się zwolna lampa jego życia. Dnia tego w południe jeszcze chodził, jeszcze spoglądał z blanków na namioty i drewniane szałasy wojsk sapieżyńskich; lecz w dwie godziny później zaniemógł tak, iż musiano go odnieść do komnat.

Od owych czasów kiejdańskich, w których po koronę sięgał, zmienił się do niepoznania. Włos na głowie zbielał, naokoło oczu poczyniły się czerwone obwódki, twarz mu obwisła i nabrzękła, więc wydawała się jeszcze ogro mniejszą, ale była to twarz już pół trupia, naznaczona błękitnemi piętnami i straszna, przez swój wyraz piekielnych cierpień.

A jednak, lubo życie jego niemal na godziny się już liczyć mogło, przecie żył za długo, bo przeżył nietylko wiarę w siebie, w swoją pomyślną gwiazdę, nietylko nadzieje swoje i zamiary, ale tak głęboki swój upadek, że gdy spoglądał na dno tej przepaści, do której się stoczył, sam sobie wierzyć nie chciał. Wszystko go zawiodło: wypadki, wyrachowania, sprzymierzeńcy. On, któremu niedość było być najpotężniejszym panem polskim, księciem Państwa Rzymskiego, wielkim hetmanem i wojewodą wileńskim, — on, któremu Litwa cała była nie do miary pragnień i pożądliwości, — zamknięty był teraz w jednym ciasnym zameczku, w którym czekała go tylko albo śmierć, albo niewola. I patrzył codziennie we drzwi, która z dwóch strasznych bogiń pierwej wejdzie wziąć jego duszę i przez pół już rozpadające się ciało.

Z jego ziem, z jego włości i starostw można było niedawno udzielne królestwo wykroić, dziś nie był panem nawet i murów tykocińskich.

Przed kilkoma zaledwie miesiącami z sąsiednimi królami jeszcze traktował, — dziś jeden kapitan szwedzki z niecierpliwością i lekceważeniem słuchał jego rozkazów i wolę jego śmiał naginać do swojej.

Gdy go opuściły wojska, gdy z magnata i pana, który trząsł krajem, został bezsilnym nędzarzem, który sam potrzebował ratunku

i pomocy, Karol Gustaw pogardził nim. Byłby pod niebiosa wynosił potężnego pomocnika, ale odwrócił się z dumą od suplikanta [1].

Jako opryszka Kostkę Nąpierskiego [2] oblegano niegdyś w Czorsztynie, tak jego, Radziwiłła, oblegano teraz w zamku tykocińskim. I kto oblegał? Sapieha, największy wróg osobisty !

Gdy go dostaną, powloką go na sąd, gorzej niż opryszka, bo jako zdrajcę.

Opuścili go krewni, przyjaciele, koligaci. Wojska zajechały jego dobra, rozwiały się w mgłę skarby, bogactwa, i ów pan, ów książę, który niegdyś dwór francuski dziwił i oślepiał przepychem, który na ucztach tysiące szlachty przyjmował, który po dziesięć tysięcy własnych wojsk trzymał, odziewał, żywił, nie miał teraz ozem mdlejących sił odżywić i — strach powiedzieć! — on, Radziwiłł, w ostatnich chwilach swego życia, niemal w godzinę śmierci — był głodny!

W zamku dawno już brakło żywności, ze szczupłych pozostałych zapasów komendant szwedzki skąpe wydzielał racje, a książę nie cliciał go prosić.

Gdyby przynajmniej gorączka, która trawiła jego siły, odjęła mu była i przytomność! Ale nie! Pierś jego podnosiła się coraz cięży, oddech zmieniał się w chrapanie, opuchłe

---

[1] proszącego. [2] buntownika, podburzającego chłopów na Podhalu, ściętego w Krakowie.

nogi i ręce ziębły, lecz umysł, mimo chwilowych obłędów, mimo strasznych mar i wizyj, które przesuwały mu się przed oczyma, pozostawał przez większą część godzin jasny. I widział ów książę cały swój upadek, całą nędzę i poniżenie, widział ów dawny wojownik zwycięzca całą klęskę — i cierpienia jego były tak niezmierne, że chyba z jego grzechami mogły się porównać.

Bo prócz tego, jako Oresta Erynje[1], tak jego szarpały wyrzuty sumienia, a nie było nigdzie na świecie takowej świątyni, do której mógłby się przed niemi schronić. Szarpały go w dzień, szarpały w nocy, na polu i pod dachem; duma nie mogła im zdzierżyć, ani ich odeprzeć. Im głębszy był jego upadek, tem szarpały go zacieklej. I miewał takie chwile, że darł własne piersi. Gdy nieprzyjaciele naszli ojczyznę ze wszystkich stron, gdy nad jej losem nieszczęsnym, nad jej bólami i krwią przelaną litowały się obce narody, — on, hetman wielki litewski, Zamiast ruszyć w pole, zamiast poświęcić jej ostatnią kroplę krwi, zamiast świat zdziwić jak Leonidas[2], jak Temistokles[3], zamiast zastawić ostatni kontusz jak Sapieha, związał się z jednym z nieprzyja-

---

[1] syna Agamemnona, który, mszcząc się za śmierć ojca, zabił matkę-zabójczynię, ścigały boginie zemsty — Erynje. [2] król Sparty, poległ pod Termopilami, broniąc Persom dostępu w głąb Grecji. [3] mąż stanu i wódz ateński w czasie obrony Grecji przed Persami.

ciół, i przeciwko matce, przeciwko własnemu panu podniósł świętokradzką rękę i ubroczył we krwi bliskiej, drogiej... On to wszystko uczynił, a teraz jest u kresu nietylko hańby, ale i życia, — porachunku bliski, tam, na tamtej stronie... Co go tam czeka?

Włos jeżył mu się na głowie, gdy o tern myślał. Bo gdy podnosił rękę na ojczyznę, sam sobie wydawał się w stosunku do niej wielki, a teraz zmieniło się wszystko. Teraz on zmalał, a natomiast ta Rzeczpospolita, wstająca z prochu i krwi, wydawała mu się jakaś wielka i coraz większa, grozą tajemniczą pokryta, świętego majestatu pełna, straszna. I rosła ciągle jeszcze w jego oczach, i olbrzymiała coraz więcej. Czuł się wobec niej prochem — i jako książę i jako hetman i jako Radziwiłł. Nie mógł pojąć, co to jest. Jakieś fale nieznane wzbierały koło niego, płynęły z hukiem, łoskotem, napływały coraz bliżej, piętrzyły się coraz straszniej, a on rozumiał, że utonąć musi, że utonęłoby w tym ogromie takich stu, jak on. Lecz czemuż owej grozy i tajemniczej siły nie widział pierwej; czemuż, szalony, porwał się przeciw niej. Gdy te myśli huczały mu w głowie, strach go brał przed tą matką, przed tą Rzecząpospolitą, bo nie poznawał jej rysów, tak dawniej dobrotliwych i łagodnych.

Duch się w nim łamał i w piersiach zamieszkało mu przerażenie. Chwilami myślał, że

otacza go całkiem inny kraj, inni ludzie. Przez oblężone mury dochodziło wszystko, co się w oblężonej Rzeczypospolitej działo, a działy się rzeczy dziwne i przerażające. Rozpoczynała się wojna na śmierć i życie przeciw Szwedom i zdrajcom — tern straszniejsza, że przez nikogo nie przewidywana. Rzeczpospolita poczęła karać. Było w tern coś z gniewu Bożego za obrażony majestat.

Gdy przez mury doszła wieść o oblężeniu Częstochowy, Radziwiłł, kalwin, zląkł się, i przestrach już nie wyszedł więcej z jego duszy, bo właśnie wtedy, po raz pierwszy, dostrzegł te tajemnicze fale, które, wstawszy, miały pochłonąć Szwedów i jego; wtedy najście szwedzkie wydało mu się nie najściem, ale świętokradztwem, a kara niezawodną. Wtedy po raz pierwszy spadła zasłona z jego oczu i ujrzał odmienioną twarz ojczyzny, już nie matki, ale karzącej królowej.

Wszyscy, którzy pozostali jej wierni i służyli z serca i duszy, poszli w górę i wyrastali coraz bardziej; kto przeciw niej grzeszył — upadał.

— Więc nie wolno myśleć nikomu — mówił sobie książę — ni o wyniesieniu własnem, ni rodu swego, jeno żywot, siły i miłość trzeba jej ofiarować?

Ale dla niego było za późno, bo już nie miał nic do ofiarowania, bo już nie miał

przed sobą przyszłości, chyba pozagrobową, na której widok drżał.

Od chwili oblężenia Częstochowy, gdy jeden krzyk straszny wyrwał się z piersi niezmiernego kraju, gdy jakoby cudem znalazła się w nim jakaś dziwna, do tej pory zapoznawana i niepojęta siła, — gdy, nagle, rzekłbyś tajemnicza, pozaświatowa ręka podniosła się w jego obronie, — nowe zwątpienie wżarło się w duszę książęcą, bo nie mógł opędzić się strasznym myślom, że Bóg stoi przy tamtej sprawie i przy tamtej wierze.

A gdy takie myśli huczały mu w głowie, wtedy o swojej własnej wierze wątpił, i wówczas rozpacz jego przechodziła nawet miarę jego grzechów.

Ziemski upadek, duszy upadek, ciemność, nicość — oto do czego doszedł i czego się dosłużył, służąc sobie.

A jednak, jeszcze w początkach wyprawy z Kiejdan na Podlasie pełen był nadziei. Sapieha, nierównie gorszy wódz, bił go wprawdzie w polu, resztki chorągwi go opuszczały, lecz krzepił się myślą, że lada dzień nadciągnie mu w pomoc Bogusław. Przyleci to młode orlę radziwiłłowskie, na czele pruskich, luterskich zastępów, które śladem litewskich chorągwi do papieżników nie przejdą, — a wówczas zgniotą we dwóch Sapiehę, zetrą jego siły, zetrą konfederatów i położą się na trupie Litwy, jako dwa lwy na trupie

łani, i samym rykiem odstraszą tych, którzyby im chcieli ją wydrzeć.

Lecz czas płynął, siły Janusza topniały, nawet cudzoziemskie regimenty przechodziły do groźnego Sapiehy; upływały dnie, tygodnie, miesiące, a Bogusław nie nadchodził.

Nakoniec rozpoczęło się oblężenie Tykocina.

Szwedzi, których garść przy Januszu została, bronili się bohatersko, bo straszliwemi okrucieństwy poprzednio się zmazawszy, wiedzieli, że nawet poddanie się nie ochroni ich przed mściwą ręką Litwinów. Książę w początkach oblężenia jeszcze miał nadzieję, że w ostatnim razie może sam król szwedzki ruszy mu na odsiecz, a może pan Koniecpolski, który na czele sześciu tysięcy koronnej jazdy przy Karolu się znajdował. Lecz próżno się spodziewał. Nikt o nim nie myślał, nikt z pomocą nie nadciągał.

— Bogusławie! Bogusławie! — powtarzał książę, chodząc po tykocińskich komnatach, — jeśli brata nie chcesz ratować, to ratuj przynajmniej Radziwiłła!...

Wreszcie, w ostatniej rozpaczy, postanowił książę uczynić krok, na który srodze oburzała się jego duma: to jest błagać o ratunek księcia Michała z Nieświeża.

List jego przejęli jednak w drodze sapieżyńscy ludzie, zaś wojewoda witebski przesłał Januszowi w odpowiedzi pismo księcia

krajczego, które przed tygodniem sani otrzymał.

J anusz znalazł w niem ustęp, głoszący co następuje:

„Jeśliby W. W. miłościwego pana mego doszły wieści, iż ja krewnemu, księciu wojewodzie wileńskiemu, w pomoc iść zamierzam, tedy im W. W. pan mój miłościwy nie wierz, albowiem z tymi ja tylko za jedno trzymam, którzy w wierze ku ojczyźnie i panu naszemu wytrwać, a dawne wolności tej prześwietnej Rzeczypospolitej restaurować pragną. Co się po mnie nie pokaże, abym zdrajców od słusznej i należytej kary miał zasłaniać. Bogusław też nie nadciągnie, bo, jako słyszę, elektor o sobie woli myśleć i nie chce sił rozdzielać, a quod attinet Koniecpolskiego, ten chyba do wdowy w konkury posunie, która aby nią została, na rękę mu, by książę wojewoda zgorzał jako najprędzej“.

Ten list, do Sapiehy adresowany, odjął nieszczęsnemu Januszowi resztę nadziei, i nie pozostało mu nic innego, jak czekać, aby się spełniły jego losy.

Oblężenie dobiegało końca.

Wieść o odjeździe pana Sapiehy tej minuty niemal przedarła się przez mury, ale nadzieja, że wskutek jego odjazdu kroki nieprzyjacielskie zostaną zaniechane, krótko trwała, gdyż, przeciwnie, w pułkach pieszych znać było ruch jakiś niezwyczajny. Upłynęło

jednak kilka dni dość spokojnie, bo zamiar wysadzenia bramy petardą spełzł na niczem, — lecz nadszedł 31 grudnia, w którym tylko zapadająca noc mogła przeszkodzić oblegającym, widocznie bowiem gotowali coś przeciw zamkowi, jeśli nie szturm, to przynajmniej nowy atak dział na nadwątlone mitry.

Dzień miał się ku schyłkowi. Książę leżał w sali tak zwanej „Rogowej“, położonej w zachodniej części zamku. Na ogromnym kominie paliły się całe smoliste karpy sosnowe, rzucając żywy blaśk na białe i dość puste ściany. Książę leżał nawznak na tureckiej sofie, wysuniętej umyślnie na środek komnaty, aby ciepło płomieni mogło do niej dochodzić. Bliżej komina, nieco w cieniu, spał na kobierczyku paź, koło księcia zaś siedzieli, drzemiąc na krzesłach: pani Jakimowieżowa, niegdyś dozorczyni fraucymeru w Kiejdanach, drugi paź, medyk, a zarazem astrolog książęcy, i Charłamp.

Ten ostatni bowiem nie opuścił księcia, chociaż z dawnych wojskowych został przy nim prawie sam jeden. Gorzka to była służba, bo serce i dusza starego towarzysza były właśnie za murami tykocińskiemi, w obozie Sapiehy, — jednakże trwał wiernie przy dawnym wodzu. Biedne żołnierzysko wychudło z głodu i niewczasów, jak kościotrup. Z twarzy jego został tylko nos, który teraz wyda-

wał się jeszcze większy, i wąsy, jak wiechy. Ubrany był w zbroję całkowitą, pancerz, naramienniki i misiurkę z drucianym czepcem, który spływał mu na ramiona. Żelazne karwasze świeciły mu na łokciach, bo tylko co był wrócił z murów, na które przed chwilą wychodził patrzeć, co się dzieje, i na których codzień szukał śmierci. Teraz zaś zdrzemnął się ze znużenia, choć książę rzęził straszliwie, jakby konać począł i choć wiatf wył i gwizdał nazewnątrz.

Nagle, krótkie drgania poczęły wstrząsać olbrzymiem ciałem Radziwiłła — i przestał rzęzić. Zbudzili się zaraz ci, którzy go otaczali, i poczęli patrzeć bystro naprzód na niego, potem na siebie.

Lecz on rzekł:

— Jakoby mi ktoś z piersi zlazł: lżej mi..

Potem zwrócił nieco głowę, począł patrzeć uważnie ku drzwiom, nakoniec ozwał się:

— Charłamp!

— Sługa waszej książęcej mości.

— A czego tu Stachowicz clice?

Pod biednym Charłampem zadygotały nogi, bo o ile nieustraszony był w boju, o tyle zabobonny, więc obejrzał się szybko i rzekł przytłumionym głosem:

— Stachowicza tu niemasz. Wasza 'książęca mość kazała go w Kiejdanach rozstrzelać.

Książę przymknął oczy i nie odpowiedział ani słowa.

Przez jakiś czas słychać tylko było żałosne, i przeciągłe wycie wichru.

— Płacz ludzki w tym wichrze słychać — rzekł znów książę, otwierając całkiem przytomnie oczy. — Ale jam nie sprowadzał Szwedów, jeno Radziejowski.

A gdy nikt nie odpowiadał, po małej chwili dodał:

— On najwięcej winien, on najwięcej winien, on najwięcej winien.

I jakaś otucha wstąpiła mu do piersi, jakgdyby uradowało go wspomnienie, że był ktoś od niego winniejszy.

Wkrótce jednak inne, cięższe myśli musiały mu przyjść do głowy, bo twarz mu pociemniała i powtórzył kilkakrotnie:

— Jezus! Jezus! Jezus!

I znowu napadła go duszność; począł rzęzić jeszcze straszniej, niż poprzednio.

Tymczasem z zewnątrz doszły odgłosy wystrzałów muszkietowych, zrazu rzadkich, potem coraz gęstszych, ale wśród zamieci śnieżnej i wycia wichru nie brzmiały zbyt głośno — i można było myśleć, że to rozlegają się jakieś ustawiczne stukania do bramy.

— Biją się! — rzekł medyk książęcy.

— Jako zwyczajnie! — odpowiedział Charłamp. — Ludzie marzną w zamieci, to wolą się bić dla rozgrzewki.

— Szósty już dzień tego wichru i śniegu — odpowiedział medyk. — Wielkie zmiany

przyjdą w tem królestwie, bo niezwyczajna to rzecz!

Na to odrzekł Cliarłamp:

— Daj je Boże! Nie stanie się nic gorszego!

Dalszą rozmowę przerwał im książę, na którego znów przyszła ulga:

— Charłamp!

•— Sługa waszej książęcej mości.

— Czy mi się ze słabości tak wydaje, czy też Oskierka parę dni temu chciał petardą bramę wysadzić?

— Chciał, wasza książęca mość, ale Szwedzi petardę porwali i sam nieszkodliwie postrzelon, a sapieżyńscy odbici.

— Jeżeli nieszkodliwie, to znów będzie tentował... A który dzień?

— Ostatni grudnia, wasza książęca mość.

— Boże bądź miłościw duszy mojej!... Nie dożyję już Nowego Roku... Dawno mi przepowiadano, iż w każdym piątym roku śmierć stoi koło mnie.

— Bóg łaskaw, wasza książęca mość.

— Bóg jest z panem Sapiehą — odpowiedział książę głucho.

Nagle począł się oglądać i rzekł:

— Zimno na mnie od niej idzie... Nie widzę jej, ale czuję, że ona tu jest.

— Kto taki, wasza książęca mość?

— Śmierć!

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha świętego!

Nastała chwila milczenia, słychać tylko było

szept pacierzy, odmawianych przez panią Jakimowiczową.

— Powiedzcie, — ozwał się książę przerywanym głosem, — zali wy naprawdę wierzycie, że poza waszą wiarą nikt zbawion być nie może?

— Iw godzinę śmierci można jeszcze od błędów rewokować — odrzekł Charłamp.

Odgłosy wystrzałów stały się w tej chwili jeszcze gęstsze. Huk dział począł wstrząsać szybami, które za każdym razem odpowiadały żałosnem dźwięczeniem.

Książę słuchał czas jakiś spokojnie, poczem uniósł się zlekka na wezgłowiu, zwolna oczy poczęły się rozszerzać, źrenice błyskać. Siadł; przez chwilę trzymał rękoma głowę, nagle krzyknął, jak w obłąkaniu:

— Bogusław! Bogusław! Bogusław!

Charłamp wybiegł jak szalony z komnaty.

Zamek cały trząsł się i dygotał od huku dział.

Nagle dał się słyszeć krzyk kilku tysięcy głosów, poczem targnęło coś z okropnym łomotem ścianami, aż głownie i węgle z komina wysypały się na posadzkę, jednocześnie Charłamp wpadł zpowrotem do sali.

— Sapieżyńscy bramę wysadzili! — krzyknął — Szwedzi uciekli do wieży!... Nieprzyjaciel tuż!... wasza książęca mość...

Dalsze słowa zamarły mu w ustach. Radziwiłł siedział na sofie z oczyma wyszłemi na-

wierzch; otwartemi ustami łapał raz po raz powietrze, zęby miał wyszczerzone, rękoma darł sofę, na której siedział, i patrząc z przerażeniem w głąb komnaty, krzyczał, a raczej chrapał między jednym oddechem a drugim:

— To Radziejowski... Ja nie... Ratunku!... Czego chcecie? ! Weźcie tę koronę!... To Radziejowski... Ratujcie, ludzie! Jezus! Jezus! M a r j o!

To były ostatnie słowa Radziwiłła.

Następnie porwała go straszliwa czkawka, oczy wyszły mu jeszcze okropniej z oprawy, wyprężył się, padł nawznak, i pozostał bez ruchu.

— Skonał! — rzekł medyk.

— Marji wzywał! słyszeliście, choć kalwin — ozwała się pani Jakimowiczowa.

— Dorzućcie na ogień!—rzekł do struchlałych paziów Charłamp.

Sam zaś zbliżył się do trupa, przymknął mu powieki, zaczem zdjął z pancerza złocisty obraz Bogarodzicy, który na łańcuszku nosił, i ułożywszy ręce Radziwiłła na piersiach, włożył mu go między palce.

Światło ognia odbiło się od złotego tła obrazu, a ów odblask padł na twarz wojewody i rozweselił ją tak, że nigdy nie wydawała się tak spokojna.

Charłamp siadł obok ciała, i wsparłszy łokcie o kolana, ukrył oblicze w dłoniach.

•Milczenie przerywał tylko huk wystrzałów.

Nagle stało się coś strasznego. Błysnęła naprzód okropna jasność; zdawało się, że świat cały w ogień się zmienił, a jednocześnie niemal rozległ się taki liuk, jakoby ziemia zapadała się pod zamkiem. Zachwiały się ściany, pułap zrysował się z przeraźliwym trzaskiem, okna wszystkie runęły na podłogę i szkło szyb rozbiło się w setne okruchy. Przez puste otwory okien wdarły się w tej chwili tumany śniegu i wicher począł wyć ponuro w kątach sali.

Wszyscy ludzie, w komnacie będący, padli twarzami na ziemię, wszyscy oniemieli ze strachu.

Podniósł się pierwszy Charłamp i zaraz spojrzał na trupa wojewody; ale trup leżał równo, spokojnie, jeno obrazek złocisty przechylił się mu nieco w rękach.

Charłamp odetchnął. Poprzednio był pewien, że to hurma szatanów wdarła się do sali po ciało książęce.

— Słowo stało się ciałem! — rzekł, — to Szwedzi musieli wysadzić prochami wieżę i siebie...

Lecz z zewnątrz nie dochodził żaden odgłos. Widocznie wojska sapieżyńskie stały w niemym podziwie, albo może w obawie, że cały zamek jest podminowany i że prochy kolejno wybuchać będą.

— Dorzućcie do ognia! — rzekł pacholętom Charłamp.

I znów komnata zapłonęła jaskrawem, migotliwem światłem. Naokoło trwała cisza śmiertelna, jeno ogień syczał, jeno wicher wył i śnieg walił coraz większy przez puste okna.

Aż nareszcie zabrzmiały zmieszane głosy, potem rozległ się brzęk ostróg i tupot licznych kroków; drzwi od sali otworzyły się narozcież i żołnierze wpadli do środka.

Uczyniło się jasno od gołych szabel, i coraz to więcej postaci rycerskich, przybranych w hełmy, kapuzy, kołpaki, tłoczyło się przeze drzwi. Wielu niosło w rękach latarnie i ci świecili niemi, postępując ostrożnie, chociaż w komnacie widno było i tak od ognia.

Nakoniec z tłumu wyskoczył mały rycerz, cały w szmelcowanej zbroi, i krzyknął:

— Gdzie wojewoda wileński?

— Tu! — rzekł Charłamp, ukazując na ciało, leżące na sofie.

Pan Wołodyjowski spojrzał i rzekł:

— Nie żyje!

— Nie żyje! nie żyje! — poszedł głos z ust do ust. — Nie żyje zdrajca i przedawczyk!

— Tak jest — rzekł ponuro Charłamp. — Ale jeśli sponiewieracie ciało jego i na szablach je rozniesiecie, źle uczynicie, bo Najświętszej Panny przed skonaniem wzywał i jej konterfekt w ręku dzierży!

Słowa te wielkie uczyniły wrażenie. Krzyki umilkły. Natomiast żołnierze poczęli się zbli-

żać, obchodzić sofę i przypatrywać się nieboszczykowi. Ci, którzy mieli latarnie, świecili mu niemi w oczy, a on leżał olbrzymi, posępny, z hetmańskim majestatem w twarzy i zimną powagą śmierci.

Żołnierze przychodzili kolejno, a między nimi i starszyzna. Zbliżył się więc Stankiewicz i dwaj Skrzetuscy i Horotkiewicz i Jakób Kmicic i Oskierka i pan Zagłoba.

— Prawda jest!... — rzekł cichym głosem pan Zagłoba, jakby bał się zbudzić księcia. — Najświętszą Pannę w rękach trzyma i blask mu od Niej na lica pada...

To rzekłszy, zdjął kołpak z głowy. W tej chwili uczynili to wszyscy inni. Nastało milczenie pełne szacunku, które przerwał wreszcie W ołodyjowski.

— Ach! — rzekł — już on na sądzie Bożym i ludzie nic do niego nie mają!

Tu zwrócił się do Charłampa:

— Lecz ty, nieszczęśniku, czemuś to dla niego ojczyzny i pana odstąpił?

— Dawajcie go sam!... — ozwało się zaraz kilka głosów.

Na to Charłamp wstał, i wyjąwszy szablisko, cisnął ją z brzękiem na ziemię.

— Macie mnie, rozsiekajcie! — rzekł. — Nie odstąpiłem go razem z wami, gdy był potężny jako król, a potem nie godziło mi się go opuszczać, gdy był w mizerji i gdy nikt przy nim nie pozostał. Oj! nie utyłem na tej

służbie, bom trzy dni już nic w gębie nie miał i nogi się chwieją pode mną... Ale macie mnie, rozsiekajcie! gdyż i do tego się przyznaję... — tu głos pana Charłampa zadrgał — żem go miłował...

To rzekłszy, zatoczył się i byłby upadł, ale Zagłoba otworzył mu ramiona, chwycił go, podtrzymał, a potem krzyczeć począł:

— Na żywy Bóg! Dajcie mu jeść i pić!...

Trafiło to wszystkim do serca, więc wzięto pana Charłampa pod ręce i wyprowadzono go zaraz z komnaty. Poczem i żołnierze poczęli ją kolejno opuszczać, żegnając się pobożnie.

W drodze do kwatery pan Zagłoba rozważał coś w umyśle, zastanawiał się, chrząkał, nareszcie pociągnął za połę pana Wołodyjowskiego.

— Panie Michale! — rzekł.

— A czego?

—-Już mnie zawziętość na Radziwiłła minęła, co nieboszczyk, to nieboszczyk!... Odpuszczam mu z serca, że na szyję moją nastawa!.

— Przed trybunałem on niebieskim! — odrzekł Wołodyjowski.

— Otóż, otóż!... Hm! żeby mu to co pomogło, dałbym zresztą i na mszę, bo widzi mi się, że ma tam okrutnie kruchą sprawę.

— Bóg miłosierny!

— Że miłosierny, to miłosierny, aleć i On bez abominacji na heretyków patrzeć nie może. A to nietylko heretyk, ale i zdrajca. Ot co!

Tu pan Zagłoba zadarł głowę i począł spoglądać ku górze.

— Boję się, — rzekł po chwili, — żeby mi który Szwed, z tych, co się prochami wysadzili, na łeb nie zleciał, bo że ich tam w niebie nie przyjęto, to pewna!

— Dobrzy pachołkowie! — rzekł z uznaniem pan Michał, — woleli zginąć, niż się poddać. Mało takich żołnierzów w świecie!

Poczem szli w milczeniu, nagle pan Michał zatrzymał się.

— Billewiczówny w zamku nie było — rzekł.

— A skąd wiesz?

— Pytałem onycli paziów. Bogusław ją wziął do Taurogów.

— Oj! — rzekł Zagłoba — to jakoby wilkowi kozę powierzono. Ale to nie twoja rzecz, tobie przeznaczona tamta pestka!

ROZDZIAŁ III.

Lwów od chwili przybycia króla zmienił się w istotną stolicę Rzeczypospolitej. Wraz z królem przybyła większą część biskupów z całego kraju i wszyscy ci świeccy senatoro-

wie, którzy nie służyli nieprzyjacielowi. Wydane lauda[1] zwołały również pod broń szlachtę województwa ruskiego i dalszych przyległych, która stanęła licznie a zbrojno, z tem większą łatwością, że Szwedów wcale w tych stronach nie było. Rosły też oczy i serca na widok tego pospolitego ruszenia, w niczem bowiem nie przypominało ono owego wielkopolskiego, które pod Ujściem tak słabą stawiło nieprzyjacielowi zaporę. Przeciwnie, nadciągała tu groźna i wojownicza szlachta, z dziecka na koniu i w polach hodowana, wśród ciągłych napadów tatarskiej dziczy, przywykła do przelewu krwi i pożogi, lepiej władnąca szablą, niż łaciną. Świeżo jeszcze wyćwiczyła ją climielnicczyzna[2], siedem lat bez przerwy trwająca, tak, że nie było między nimi człowieka, któryby tyle razy przynajmniej w ogniu nie był, ile sobie lat liczył. Coraz nowe ich roje przybywały do Lwowa. Jedni ciągnęli od przepaścistych Bieszczadów, inni z nad Prutu, Dniestru i Seretu; którzy siedzieli na krętych dorzeczach dniestrowych, którzy siedzieli nad roztoczystym Bohem, których nad Siniuchą nie starła z łona ziemi inkursja chłopska, którzy na tatarskich rubieżach się ostali, ci wszyscy na głos pana dążyli do Lwiego grodu, aby stamtąd na nieznanego jeszcze nieprzyjaciela po-

---

[1] uchwały sejmików. [2] wojny z Kozakami, którymi dowodził Chmielnicki.

ciągnąć. Waliła szlachta z Wołynia i z dalszych jeszcze województw, — taką nienawiść rozpaliła we wszystkich duszach straszna wieść o podniesieniu przez nieprzyjaciela świętokradzkiej ręki na Patronkę Rzeczypospolitej w Częstochowie.

Zaś Kozactwo nie śmiało stawić przeszkód, bo nawet w najzatwardzialszych poruszyły się serca, i zresztą samo było od Tatarów zmuszone bić przez posłów czołem królowi i po raz setny przysięgi wierności ponawiać. Groźne dla królewskich nieprzyjaciół poselstwo tatarskie pod wodzą Subaghazi-beja bawiło we Lwowie, ofiarując w imieniu chanowem sto tysięcy ordy na pomoc Rzeczypospolitej, z której czterdzieści tysięcy mogło zaraz z pod Kamieńca w pole wyruszyć.

Prócz poselstwa tatarskiego zjechała i legać ja z Siedmiogrodu dla prowadzenia wszczętych z Rakoczym o następstwo tronu rokowań; bawił i poseł cesarski, był nuncjusz papieski, który razem z królem przyjechał, codzień nadjeżdżały deputacje od wojsk koronnych i litewskich, od województw i ziem, z oświadczeniami wierności dla majestatu i chęci obrony do upadłego najechanej ojczyzny.

Rosła tedy fortuna królewska, podnosiła się w oczach ku podziwowi wieków i narodów, tak niedawno zupełnie pognębiona Rzeczpospolita. Rozpaliły się dusze ludzkie

żądzą wojny i odwetu, a jednocześnie okrzepły. I jak na wiosnę deszcz ciepły a obfity topi śniegi, tak potężna nadzieja stopiła zwątpienie. Nietylko chciano zwycięstwa, ale wierzono w nie. Coraz to nowe wieści pomyślne, choć często nieprawdziwe, przechodziły z ust do ust. Raz wraz opowiadano to o odebranych zamkach, to o bitwach, w których nieznane pułki pod nieznanymi dotąd wodzami rozgromiły Szwedów, to o strasznych chmurach chłopstwa, podnoszących się jako szarańcza przeciw nieprzyjacielowi. Imię Stefana Czarnieckiego coraz częściej pojawiało się na wszystkicli ustach.

Szczegóły w onych wieściach były często nieprawdziwe, ale razem wzięte, odbijały jako zwierciadło to, co się działo w całym kraju.

Lecz we Lwowie było jakoby ustawiczne święto. Gdy król przybył, witało go miasto uroczyście: więc duchowieństwo trzech obrządków, rajcy miejscy, kupiectwo, cechy. Na placach i ulicach, gdzie okiem rzuciłeś, powiewały chorągwie białe, szafirowe, purpurowe, złociste. Dumnie podnosili lwowianie swego złotego lwa w błękitnem polu, z chlubą wspominając zaledwie przeszłe kozackie i tatarskie napady. Za każdem ukazaniem się królewskiem, krzyk się czynił pomiędzy tłumami, a tłumów nigdy nie brakło.

Ludność podwoiła się w ostatnich dniach. Prócz senatorów, biskupów, prócz szlachty,

napłynęły i tłumy chłopstwa, bo się rozbiegła wieść, że król zamyśla los chłopski poprawić. Więc sukmany i gunie pomieszały się z żółtemi kapotami mieszczan. Przemyślni Ormianie o smagłych twarzach porozbijali szałasy z towarem i bronią, którą chętnie kupowała zgromadzona szlachta.

Była znaczna liczba i Tatarów przy poselstwie, i Węgrzyni, i Wołosi, i Rakuszanie 1, moc ludu, moc wojska, moc odmiennych twarzy, moc strojów dziwnych, barwnych, jaskrawych a rozmaitych, moc służby dworskiej : więc olbrzymich pajuków, hajduków, janczarów, kraśnych kozaków, laufrów[2] z cudzoziemska przybranych.

Na ulicach od rana do wieczora gwar ludzki, przejeżdżanie to chorągwi komputowycli, to oddziałów konnej szlachty, krzyki komendy, migotanie zbroi i gołych szabel, rżenie koni, liurkot armat — i śpiewy pełne gróźb i przekleństw dla Szweda.

A dzwony w kościołach polskich, ruskich i ormiańskich biły nieustannie, zwiastując wszystkim, że król jest we Lwowie, i że Lwów to ze stolic pierwszy, ku wieczystej swej chwale, przyjął króla wygnańca.

Bito mu też czołem, gdzie się tylko pokazał; czapki wylatywały w górę, a okrzyki „vivat!“ wstrząsały powietrzem; bito czołem [1]

---

[1] Austrjacy. [2] gońców.

i przed karocami biskupów, którzy przez okna żegnali zgromadzone tłumy; kłaniano się też i wykrzykiwano senatorom, czcząc w nicli wierność dla pana i ojczyzny.

Tak wrzało całe miasto. Nawet nocą palono na placach stosy drzewa, przy których koczowali mimo zimy i mrozu ci, którzy się w kwaterach dla zbytniego ścisku pomieścić nie mogli.

Król zaś trawił dnie całe na naradach z senatorami. Przyjmowano poselstwa zagraniczne, deputacje ziem i wojsk; obmyślano sposoby zapełnienia pustego skarbca pieniądzmi; używano wszelkich sposobów, aby rozniecić wojnę tam wszędzie, gdzie nie płonęła dotąd.

Latali gońcy do miast znaczniejszych, we wszystkie strony Rzeczypospolitej, aż hen do dalekich Prus i na Żmudź świętą; do Tyszowiec, do hetmanów, do pana Sapiehy, który po zburzeniu Tykocina szedł z wojskiem swojem wielkiemi pochodami na południe; szli gońcy i do pana chorążego wielkiego Koniecpolskiego, który jeszcze stał przy Szwedach. Tam, gdzie było trzeba, posyłano zasiłki pieniężne, ekscytowano ospalszych manifestami.

Król uznał, uświęcił i potwierdził konfederację tyszowiecką i sam do niej przystąpił, wziąwszy wodze wszelkich spraw w swe niestrudzone ręce: pracował od rana do nocy, więcej dobro Rzeczypospolitej, niż własny wczas, niż własne zdrowie ważąc.

Lecz jeszcze nie tu był kres jego usiłowań: postanowił bowiem zawrzeć w imieniu swojem i stanów takie przymierze, któregoby żadna potęga ziemska przemóc nie zdołała, a któreby w przyszłości do poprawy Rzeczypospolitej mogło posłużyć.

Nadeszła nareszcie ta chwila.

Tajemnica musiała się przedrzeć od senatorów do szlachty, a od szlachty do pospólstwa, gdyż od rana mówiono, że w czasie nabożeństwa stanie się coś ważnego, że król jakieś uroczyste śluby będzie składał. Mówiono o poprawie losów chłopskich i o konfederacji z niebem; inni wszelako twierdzili, że to są niebywałe rzeczy, których przykładów dzieje nie podają, — ale ciekawość była podniecona i powszechnie czegoś oczekiwano.

Dzień był mroźny, jasny, drobniuchne źdźbła śniegu latały po powietrzu, błyszcząc nakształt iskier. Piechota łanowa lwowska i powiatu żydaczowskiego, w półszubkach błękitnych bramowanych złotem, i pół regimentu węgierskiego wyciągnęły się w długi szereg przed katedrą, trzymając muszkiety przy nogach; przed nimi, nakształt pasterzy, przechodzili wzdłuż i wpoprzek oficerowie z trzcinami w ręku. Pomiędzy dwoma szpalerami płynął, jak rzeka, do kościoła tłum różnobarwny. Więc naprzód szlachta i rycerstwo, a za nią senat[1] miejski z łańcuchami pozło-

[1] rada miejska.

cistemi na szyjach i ze świecami w ręku, a prowadził go burmistrz, słynny na całe województwo medyk, przybrany w czarną togę aksamitną i biret; za senatem szli kupcy, a między nimi wielu Ormian, w zielonych ze złotem myckach na głowie i w obszernych wschodnich chałatach i. Ci, chociaż do innego obrządku należąc, ciągnęli wraz z innymi, by stan reprezentować. Za kupiectwem dążyły cechy z chorągwiami, a więc: rzeźnicy, piekarze, szewcy, złotnicy, konwisarze [2] , szychterze [3], płatnerze, kordybanicy [4], miodowarzy [5], i ilu tylko innych jeszcze było; z każdego ludzie wybrani szli za swoją chorągwią, którą niósł okazalszy od wszystkich urodą chorąży. Zaczern dopiero waliły bractwa różne i tłum pospolity, w łyczkowych [6] kapotach, w kożuchach, guniach, sukmanach, mieszkańcy przedmieść, chłopi. Nie tamowano przystępu nikomu, dopóki kościół nie zapełnił się szczelnie ludźmi wszelakich stanów i płci oho jej.

Nakoniec zaczęły zajeżdżać i karety, lecz omijały główne drzwi, albowiem król, biskupi i dygnitarze mieli osobne wejście, bliżej wielkiego ołtarza. Co chwila wojsko prezentowało broń, następnie żołnierze spuszczali muszkiety

---

[1] długich sukniach, do dziś noszonych przez żydów. [2] rzemieślnicy, wyrabiający naczynia cynowe. [3] ślusarze. [4] garbarze. [5] wyrabiający miód do picia. [6] mieszczańskich.

do nogi i chuchali na zmarznięte dłonie, wyrzucając z piersi kłęby pary.

Zajechał król z nuncjuszem Widonem, potem arcybiskup gnieźnieński z księciem Czartoryskim, potem ksiądz biskup krakowski, ksiądz arcybiskup lwowski, kanclerz wielki koronny, wielu wojewodów i kasztelanów. Ci wszyscy znikali w bocznych drzwiach, a ich karoce, dwory, masztalerze i wszelkiego rodzaju dworscy utworzyli jakby nowe wojska, stojące zboku katedry.

Ze mszą wyszedł nuncjusz apostolski Widon, przybrany na purpurze w ornat biały, naszywany perłami i złotem.

Dla króla urządzono klęcznik między wielkim ołtarzem a stalami, przed klęcznikiem leżał rozpostarty dywan turecki. Kanonickie krzesła zajęli biskupi i świeccy senatorowie.

Różnobarwne światła, wchodzące przez okna w połączeniu z blaskiem świec, od których ołtarz gorzeć się zdawał, padały na twarze senatorskie, ukryte w cieniu kanonickich krzeseł, na białe brody, na wspaniałe postawy, na złote łańcuchy, aksamity i fiolety. Rzekłbyś: rzymski senat, — taki w tych starcach majestat i powaga; gdzieniegdzie wśród sędziwych głów widać twarz senatora-wojownika, gdzieniegdzie błyśnie jasna główka młodego panięcia; wszystkie oczy utkwione w ołtarz, wszyscy modlą się; błyszczą i chwieją się płomienie świec; dymy z kadzielnic igrają

i kłębią się w blaskach. Z drugiej strony stalów kościół nabity głowami, a nad głowami tęcza chorągwi, jako tęcza kwiatów się mieni.

Majestat króla Jana Kazimierza padł, wedle zwyczaju, krzyżem i korzył się przed majestatem Bożym. Wreszcie wydobył ksiądz nuncjusz z cyborjum [1] kielich i zbliżył się z nim do klęcznika. Wówczas król podniósł się z jaśniejszą twarzą, rozległ się głos nuncjusza: „Ecce Agnus Dei“ [2] ... i król przyjął komun ję.

Przez jakiś czas klęczał schylony; nakoniec podniósł się, oczy zwrócił ku niebu i wyciągnął obie ręce.

Uciszyło się nagle w kościele, tak, że oddechów ludzkich nie było słychać. Wszyscy odgadli, że chwila nadeszła i że król jakiś ślub będzie czynił; wszyscy słuchali w skupieniu ducha, a on stał ciągle z wyciągniętemi rękoma, wreszcie głosem wzruszonym, ale jak dzwon donośnym, tak mówić począł:

— Wielka człowieczeństwa Boskiego Matko i Panno! Ja, Jan Kazimierz, Twego Syna, Króla królów i Pana mojego, i Twojem zmiłowaniem się król, do Twych najświętszych stóp przychodząc, tę oto konfederację czynię: Ciebie za Patronkę moją i państwa mego Królową dzisiaj obieram. Mnie, Królestwo moje

---

[1] szafka w wielkim ołtarzu, w której przechowuje się Przenajświętszy Sakrament. [2] „Oto Baranek Boży“...

Polskie, Wielkie Księstwo Litewskie, Ruskie, Pruskie, Mazowieckie, Żmudzkie, Inflanckie i Czernihowskie, wojsko obojga narodów i pospólstwo wszystkie, Twojej osobliwej opiece i obronie polecam; Twojej pomocy i miłosierdzia w teraźniejszem utrapieniu królestwa mego, przeciwko nieprzyjaciołom pokornie żebrzę...

Tu padł król na kolana i milczał chwilę, w kościele cisza ciągle trwała śmiertelna, więc, wstawszy, tak dalej mówił:

— A że, wielkiemi Twemi dobrodziejstwy zniewolony, przymuszony jestem z narodem polskim do nowego i gorącego Tobie służenia obowiązku, obiecuję Tobie, mojem, ministrów, senatorów, szlachty i pospólstwa imieniem, Synowi Twemu Jezusowi Chrystusowi, Zbawicielowi naszemu, cześć i chwałę przez wszystkie krainy królestwa polskiego rozszerzać, czynić wolę, że gdy za zlitowaniem Syna Twego otrzymam wiktorję nad Szwedem, będę się starał, aby rocznica w państwie mem odprawiała się solennie do skończenia świata, rozpamiętywaniem łaski Boskiej i Twojej, Panno Przeczysta!

Tu znów przerwał i klęknął. W kościele uczynił się szmer, lecz głos królewski wnet go uciszył, i choć drżał teraz skruchą, wzruszeniem, tak dalej mówił jeszcze donośniej:

— A że, z wielkim żalem serca mego uznaję, dla jęczenia w opresji ubogiego po-

spólstwa oraczów, przez żołnierstwo uciemiężonego, od Boga mego sprawiedliwą karę przez siedem lat w królestwie mojem różnemi plagami trapiącą nad wszystkich ponoszę, obowiązuję się, iż po uczynionym pokoju starać się będę ze stanami Rzeczypospolitej usilnie, ażeby odtąd utrapione pospólstwo wolne było od wszelkiego okrucieństwa, w czem Matko miłosierdzia, Królowo i Pani moja, jakoś mnie natchnęła do uczynienia tego wotum, abyś łaską miłosierdzia u Syna Twego uprosiła mi pomoc do wypełnienia tego, co obiecuję-

Słuchało tych słów królewskich duchowieństwo, senatorowie, szlachta, gmin. Wielki płacz rozległ się w kościele, który naprzód w chłopskich piersiach się zerwał i z onych wybuchnął, a potem stał się powszechny. Wszyscy wyciągnęli ręce ku niebu, rozpłakane głosy powtarzały: „Amen! amen! amen!“ na świadectwo, że swoje uczucia i swoje wota ze ślubem królewskim łączą. Uniesienie ogarnęło serca — i zbratały się w tej chwili w miłości dla Rzeczypospolitej i jej Patronki. Zaczerń radość niepojęta jako czysty płomień rozpaliła się na twarzach, bo w całym tym kościele nie było nikogo, ktoby jeszcze wątpił, że Bóg Szwedów pogrąży.

Król zaś po ukończonem nabożeństwie, wśród grzmotu wystrzałów z muszkietów i dział, wśród gromkich okrzyków: „Wiktorja!

wiktorja! Niech żyje!“ — jechał <lo grodu, i tam oną niebieską konfederację wraz z tyszowiccką roborował.

ROZDZIAŁ IV.

Po owych uroczystościach różne wieści zaczęły nadlatywać jako ptactwo skrzydlate do Lwowa. Były dawniejsze i świeże, mniej lub więcej pomyślne, ale wszystkie dodawały ducha. Więc naprzód — konfederacja tyszowiecka szerzyła się jak pożar. Kto żyw przystępował do niej, zarówno ze szlachty, jak z pospólstwa. Miasta dostarczały, wozów, strzelby i piechoty, Żydzi pieniędzy. Nikt nie śmiał się przeciwić jej uniwersałom; najospalsi na koń siadali. Nadszedł też i groźny manifest Wittemberga, zwrócony przeciw związkowi. Ogień i miecz miał karać tych, którzy do niego przystępowali. Ale sprawiło to taki skutek, jakby kto chciał prochem płomień zasypać. Manifest ów, zapewne za wiedzą królewską i dla tern większego podniesienia zawziętości przeciw Szwedom, rozrzucono w wielkiej ilości egzemplarzy we Lwowie, i nie godzi się mówić, co pospólstwo dokazywało z temi papierami, — dość, że wiatr je nosił, srodze pohańbione, po lwowskich ulicach, żacy zaś pokazywali ku uciesze tłumów w jasełkach „Wittembergową konfuzję“, śpiewając przytem pieśń, poczynającą się od słów:

Witemberku nieboże,
Lepiej zmykaj za morze
Jak zając!
Bo gdy sypną się guzy,
To pogubisz rajtuzy[1],
Zmykając!

On zaś, jakby czyniąc zadość słowom pieśni, zdał komendę w Krakowie dzielnemu Wirtzowi, a sam udał się śpiesznie do Elbląga, gdzie król szwedzki przebywał wraz z królową, trawiąc czas na ucztach i radując się w sercu, że tak prześwietnego królestwa stał się panem.

Przyszły także do Lwowa doniesienia o upadku Tykocina i rozweseliły umysły. Dziwnem było, że poczęto o tern mówić, nim jakikolwiek goniec przybył. Nie zgadzano się tylko co do tego, czy książę wojewoda wileński umarł, czy w niewoli, — twierdzono wszakże, że pan Sapieha na czele znacznej potęgi wszedł już z Podlasia w województwo lubelskie, ażeby się z hetmanami połączyć, że po drodze bije Szwedów i z każdym dniem w siłę rośnie.

Nakoniec od niego samego przybyli posłowie, i w znacznej liczbie, bo ni mniej ni więcej tylko całą chorągiew przysłał wojewoda do dyspozycji królewskiej, pragnąc przez to okazać cześć panu, zabezpieczyć od wszelkiej możliwej przygody jego osobę, a może i własne podnieść przez to znaczenie.

[1] szerokie spodnie do konnej jazdy.

Przywiódł ów znak młody pułkownik Wołodyjowski, dobrze królowi znajomy, zaraz też Jan Kazimierz kazał mu stanąć przed sobą, i ścisnąwszy za głowę, rzekł:

— Witaj sławny żołnierzyku! Siła upłynęło wody, od kiedy straciliśmy cię z oczu. Bodaj że pod Beresteczkiem widzieliśmy cię ostatni raz, całego we krwi unurzonego.

Pan Michał pochylił się do kolan pańskich i odrzekł:

— Iw Warszawie później, miłościwy panie, byłem też w zamku z dzisiejszym panem kasztelanem kijowskim.

— A służysz ciągle? Nie zachciało ci się to domowych wczasów użyć?

— Bo Rzeczpospolita była w potrzebie, a w onych zawieruchach i substancja przepadła. Nie mam, gdziebym głowę złożył, miłościwy panie, ale sobie nie przykrzę, tak myśląc, że to dla majestatu i ojczyzny pierwsza żołnierska powinność.

— Bodaj takich więcej! bodaj więcej... Nie panoszyłby się nieprzyjaciel. Da Bóg, przyjdzie czas i na nagrody, a teraz powiadaj, coście z wojewodą wileńskim uczynili?

— Wojewoda wileński na sądzie Bożym. Właśnie wtedy z niego duch wyszedł, gdyśmy do ostatniego szturmu szli.

— Jakże to ono było?

— Oto jest relacja wojewody witebskiego — rzekł pan Michał.

Król wziął pismo i zaczął czytać, ale ledwie zaczął, zaraz przerwał:

— Myli się w tern pan Sapieha, — rzekł, — pisząc, iż wielka litewska buława vacat[1]; nie vacat, ho jemu ją oddaję.

— Niema też nad niego godniejszego, — odrzekł pan Michał, — i całe wojsko będzie do śmierci waszej królewskiej mości za ten uczynek wdzięczne.

Uśmiechnął się król na ową prostoduszną konfidencję żołnierską i czytał dalej.

Po chwili westchnął.

— Mógłby Radziwiłł być najpiękniejszą perłą w tej sławnej koronie, gdyby duma i błędy, które wyznawał, nie wysuszyły mu duszy... Stało się! Niezbadane wyroki Boskie!... Radziwiłł i Opaliński... prawie w jednym czasie... Sądź ich Panie, nie wedle ich grzechów, ale wedle Twojego miłosierdzia.

Nastało milczenie, poczem król zaczął dalej czytać.

— Wdzięczni jesteśmy panu wojewodzie,— rzekł, skończywszy, —że mi całą chorągiew i największego, jako piszę, kawalera pod rękę przysyła. Ale tu mi bezpieczno, a kawalerowie, zwłaszcza tacy owo, w polu teraz najpotrzebniejsi. Wypocznijcie trochę, a potem was panu Czarnieckiemu w sukurs podeślę, bo na niego pewnie największy impet się zwróci.

---

[1] nie jest w niczyich rękach.

— Dość my już wypoczywali pod Tykocinem, miłościwy panie — ozwał się z zapałem mały rycerz; — teraz chybaby konie trochę odżywić, my zaś moglibyśmy i dziś jeszcze ruszyć, bo z panem Czarnieckim rozkosze będę niewypowiedziane!... Szczęście to wielkie patrzeć w oblicze miłościwego naszego pana, ale do Szwedów też nam pilno.

Król rozpromienił się. Ojcowska dobroć osiadła mu na obliczu i rzekł, patrząc z zadowoleniem na siarczystą postać małego rycerza :

— Tyś to, żołnierzyku, pierwszy pułkownikowską buławę pod nogi nieboszczykowi księciu wojewodzie rzucił?

— Nie pierwszym rzucił, wasza królewska mość, alem pierwszy raz, a daj Boże, ostatni, przeciw dyscyplinie wojennej wykroczył.

Tu zaciął się pan Michał i po chwili dodał:

— Nielża [1] było inaczej !

— Pewnie — rzekł król. — Ciężkie to były, czasy na tych, którzy powinność wojskową rozumieją, ale i posłuch musi mieć swoje granice, za któremi się wina rozpoczyna. Siła tam starszyzny przy Radziwille się ostało?

— W Tykocinie znaleźliśmy z oficyjerów jednego tylko pana Charłampa, który zrazu księcia nie opuściwszy, nie chciał go potem w mizerji opuszczać. Kompasja go jeno przy

[1] nie można.

księciu trzymała, bo afekt przyrodzony do nas ciągnął. Ledwieśmy go odkarmili, taki tam już był głód, a on sobie jeszcze od gęby odejmował, aby księcia pożywić. Teraz tu do Lwowa przyjechał, miłosierdzia waszej królewskiej mości błagać, a i ja do nóg twoich za nim, miłościwy panie, upadam, bo to człek >służały i dobry żołnierz.

— Niechże tu przyjdzie — rzekł król.

— Ma on też ważną rzecz waszej królewskiej mości, panu memu miłościwemu, objawić, którą był z ust księcia Bogusława w Kiejdanacb słyszał, a która zdrowia i bezpieczeństwa świętej dla nas osoby waszej królewskiej mości attinet.

— Czy nie o Kmicicu?

— Tak jest, miłościwy panie!...

—■ A ty znałeś Kmicica?

— Znałem i biłem się z nim, ale gdzieby teraz był, tego nie wiem.

— Co o nim myślisz?

— Miłościwy panie, skoro on takiej imprezy się podjął, to niema tych mąk, którychby nie był godzien, bo wyrzutek to z piekła rodem.

— To nieprawda, — rzekł król, — wszystko to księcia Bogusława wymysły... Ale położywszy na stronę ową sprawę, powiadaj, co o tym człeku wiesz z jego dawniejszych czasów?

— Żołnierz to był zawsze wielki i w dziele wojennem niezrównany. Tak jak on Chowań-

skiego podchodził, że w kilkaset ludzi do utrapienia całą potencję nieprzyjacielską przywiódł, tegoby nikt inny nie potrafił. Cud, że z niego skóry nie zdarto i na bęben nie naciągniono! Gdyby kto był wonczas Chowańskiemu samego księcia wojewodę w ręce wydał, jeszczeby go tak nie usatysfakcjonował i, jak z Kmicica podarek mu uczyniwszy... Jakże! do tego doszło, że Kmicic Chowańskiego sztućcami jadał, na jego kobierczyku sypiał, jego saniami i na jego koniu jeździł. Ale potem i dla swoich był ciężki, swawolił okrutnie, kondeinnatami instar pana Łaszcza mógł sobie kierejkę [2] podszyć, a już w Kiejdanach całkiem się pogrążył.

Tu pan Wołodyjowski opowiedział szczegółowo wszystko, co zaszło w Kiejdanach. '

Jan Kazimierz zaś słuchał chciwie, a gdy wreszcie doszedł pan Michał do tego, jak pan Zagłoba uwolnił naprzód siebie, a potem wszystkich kompanjonów z radziwiłłowskiej niewoli, począł się król za boki brać ze śmiechu.

— Vir incomparabilis! vir incomparabilis! — powtarzał. — A jest-że on tu z tobą?

— Na rozkazy waszej królewskiej mości! — odpowiedział Wołodyjowski.

— Ulissesa ten szlachcic przeszedł! Przyprowadź-że mi go do stołu na wesołą chwilę, [1]

---

[1] sprawił przyjemność. [2] płaszcz.

i panów Skrzetuskich z nim razem, a teraz powiadaj, co wiesz więcej o Kmicicu?

— Z listów przy Rochu Kowalskim znalezionych dowiedzieliśmy się dopiero, iż po śmierć nas do Birżów posyłano. Gonił nas jeszcze książę i wojskiem starał się otoczyć, ale nie przykrył. Wymknęliśmy się szczęśliwie... I niedość, bośmy niedaleko Kiejdan Kmicica złapali, którego zaraz na rozstrzelanie ordynowałem i.

— Oj! — rzekł król. — To widzę, prędko tam u was na Litwie szło!

— Wszelako przedtem pan Zagłoba kazał go obszukać, jeśli jakowych listów przy sobie nie ma. Jakoż znalazło się pismo hetmańskie, z którego dowiedzieliśmy się, że gdyby nie Kmicic, toby nas do Birżów nie wywożono, ale, niemieszkając, w Kiejdanach rozstrzelano.

— A widzisz! — wtrącił król.

— Potem tedy nie godziło nam się więcej na żywot jego nastawać. Puściliśmy go... Co dalej czynił, nie wiem, ale od Radziwiłła jeszcze nie odszedł. Bóg raczy wiedzieć, co to za człowiek... Łatwiej o każdym innym mieć opinję, niż o takim wichrze. Przy Radziwille został, potem gdzieś jechał... I znowu ostrzegł nas, iż książę z Kiejdan ciągnie. Trudno negować, jak znaczną nam przysługę oddał, bo

[1] tu: skazałem.

gdyby nie owo ostrzeżenie, byłby wojewoda wileński na ubezpieczone wojska napadał i pojedynczo chorągwie znosił... Sam nie wiem, miłościwy panie, co mam myśleć... Jeśli to oszczerstwo, co książę Bogusław powiadał...

— Zaraz się to okaże — rzekł król...

I zaklaskał w dłonie.

— Zawołaj tu pana Babinicza — rzekł do pazia, który ukazał się w progu.

Paź zniknął, a po chwili drzwi komnaty królewskiej otwarły się, i stanął w nich pan Andrzej. Pan Wołodyjowski nie poznał go zrazu, był bowiem młody rycerz bardzo zmieniony i wybladły, jako że od ostatniej walki w wąwozie nie mógł jeszcze przyjść do siebie. Patrzył tedy na niego pan Michał, nie poznając.

— Dziw! — ozwał się wreszcie — gdyby nie chudość gęby i nie to, że wasza królewska mość inne powiedziała nazwisko, rzekłbym: panie Kmicic!

Król uśmiechnął się i odrzekł:

— Opowiadał mi tu właśnie ów mały rycerz o jednym okrutnym hultaju, który się tak nazywał, ale jam mu jako na dłoni wywiódł, że się w swym sądzie pomylił, i pewien jestem, że mi pan Babinicz przyświadczy.

— Miłościwy panie, — odparł prędko Babinicz, — jedno słowo waszej królewskiej mości lepiej tego hultaja oczyści, niż największe moje przysięgi!

— I głos ten sam, — mówił ze wzruszającem zdumieniem mały pułkownik, — jeno tej blizny przez gębę nie było.

— Mości panie, — rzekł na to Kmicic, — łeb szlachecki, to rejestr i, na którym coraz inna ręka szablą piszę... Ale jest tu i twoja konotatka [2], poznajże mnie...

To rzekłszy, schylił podgoloną głowę i wskazał palcem na długą, białawą brózdę, ciągnącą się tuż koło czuba.

— Moja ręka! — krzyknął pan Wołodyjowski — to Kmicic!

— A ja ci mówię, że ty Kmicica nie znasz! — wtrącił król.

— Jakto? miłościwy panie...

— Boś znał wielkiego żołnierza, ale swawolnika i radziwiłłowskiego w zdradzie socjusza... A tu stoi Hektor częstochowski, któremu Jasna Góra po księdzu Kordeckim najwięcej zawdzięcza, tu stoi obrońca ojczyzny i sługa mój wierny, który mnie własną piersią zastawił i życie mi ocalił, gdym w wąwozach, jako między stadem wilków, dostał się między Szwedów. Taki to ów nowy Kmicic... Poznajże go i pokochaj, bo wart tego!

Pan Wołodyjowski począł ruszać żółtemi wąsikami, nie wiedząc, co rzec, a król dodał:

— I wiedz o tem, że nietylko on nic księciu Bogusławowi nie obiecywał, ale pierwszy

---

[1] tu: karta księgi, służącej do prowadzenia rachunków i zapisków. [2] zapisek.

na nim za icli praktyki zemstę wywarł, bo go porwał i chciał go w wasze ręce wydać.

— I nas ostrzegł przed księciem wojewodą wileńskim! — zawołał mały rycerz. — Jakiż anioł tak waszmości nawrócił?

.— Uściskajcie się! — rzekł król.

— Odrazu-m waszmości pokochał! — oz wał się pan Kmicic.

Więc padli sobie w objęcia, a król patrzył na to i usta raz po razu, wedle' swojego zwyczaju, z zadowoleniem wydymał. Kmicic zaś ściskał tak serdecznie małego rycerza, że aż go w górę podniósł jak kota i nieprędko napowrót na nogi postawił.

Poczem król wyszedł na codzienną naradę, zwłaszcza że i obaj hetmani koronni przybyli do Lwowa, którzy mieli tam wojsko tworzyć, aby później poprowadzić je w pomoc panu Czarnieckiemu i konfederackim oddziałom, uwijającym się pod różnymi wodzami po kraju.

Rycerze zostali sami.

— Pójdź waszmość pan do mojej kwatery, — rzekł Wołodyjowski, — znajdziesz tam Skrzetuskich i pana Zagłobę, którzy radzi usłyszą to, co mnie król jegomość powiadał. Jest też tam i pan Charłamp.

Lecz Kmicic przystąpił do małego rycerza z wielkim niepokojem w twarzy.

— Siła ludzi znaleźliście przy księciu Radziwille? — spytał.

—■ *Ze* starszyzny jeden Charłamp był przy nim.

— Nie o wojskowych pytam, dla Boga!... a z niewiast?...

—- Zgaduję o co chodzi — odparł, zapłoniwszy się nieco, mały rycerz: — pannę Billewiczównę książę Bogusław wywiózł do Taurogów.

Na to zmieniło się w oczach oblicze Kmicica; więc naprzód stało się blade jak pergamin, potem czerwone, potem jeszcze bielsze niż poprzednio. Zrazu słowa nie znalazł, jeno nozdrzami parskał, chwytając powietrze, którego widocznie nie stawało mu w piersiach. Następnie chwycił się obu rękoma za skronie, i biegając jak szalony po komnacie, jął powtarzać:

— Górze mnie, górze, górze!

— Chodź waść, Charłamp lepszą ci zda relację, bo był przy tem — rzekł Wołodyjowski.

ROZDZIAŁ V.

Wyszedłszy od króla, szli obaj rycerze w milczeniu. Wołodyjowski mówić nie chciał, Kmicic nie mógł, bo go ból i wściekłość kąsały; przebijali się tedy przez tłumy, które się były , zebrały na ulicach bardzo licznie, wskutek wieści, że pierwszy zagonik Tatarów, obiecanych przez chana królowi, nadciągnął

i ma wejść do miasta, aby się zaprezentować królowi. Mały rycerz prowadził, Kmicic leciał jak błędny za nim, z kołpakiem nasuniętym na oczy, potrącając ludzi po drodze.

Dopiero gdy wyszli na miejsce przestronniejsze, pan Michał chwycił Kmicica za przegub ręki i rzekł:

— Pomiarkuj się waść!... Desperacją nic nie wskórasz!...

— Ja nie desperuję, — odrzekł Kmicic, — jeno mi jego krwi potrzeba!

— Możesz być pewien, że go między nieprzyjaciółmi ojczyzny znajdziesz!

— Tern lepiej! — mówił gorączkowo pan Andrzej — ale choćbym go i w kościele znalazł...

— Dla Boga, nie bluźnij! — przerwał co prędzej mały pułkownik.

— Ten zdrajca do grzechu mnie przywodzi!

Zamilkli na chwilę, poczem pierwszy pan Kmicic spytał:

— Gdzie on teraz jest?

— Może w Taurogach, a może i nie. Charłamp będzie lepiej wiedział.

— Chodźmy!

— Już niedaleko. Chorągiew za miastem stoi, a my tu... i Charłamp z nami.

Wtem Kmicic począł oddychać tak ciężko, jak człowiek, który pod stromą górę wchodzi.

— Słabym jeszcze okrutnie — ozwał się.

— Tein większego pomiarkowania waszmości potrzeba, ile że z takim rycerzem będziesz miał sprawę.

— Już raz miałemi i ot! co mi po niej ostało.

To rzekłszy, Kmicic ukazał na pręgę w twarzy.

— Powiedzże mi waść, jako to było, bo król jegomość ledwie wspomniał?

Pan Kmicic począł opowiadać, i choć przytem zębami zgrzytał i aż kołpaczkiem cisnął o ziemię, jednak myśl jego oderwała się od nieszczęścia i uspokoił się trochę.

— Wiedziałem, żeś waść rezolut, — rzekł mały rycerz, — ale żeby Radziwiłła z pośród jego chorągwi porwać, tegom się i po waćpanu nie spodziewał.

Tymczasem doszli do kwatery. Dwaj Skrzetuscy, pan Zagłoba, dzierżawca z Wąsoszy i Charłamp zajęci byli oglądaniem kożuszków krymskich, które handlujący Tatar przyniósł właśnie do wyboru. Charłamp, który najlepiej znał Kmicica, poznał go też od jednego rzutu oka, i opuściwszy kożuszek, zakrzyknął:

— Jezus Mar ja!

— Niech będzie imię Pańskie pochwalone! — zawołał dzierżawca z Wąsoszy.

Lecz zanim wszyscy ochłonęli ze zdziwienia, Wołodyjowski rzekł:

— Przedstawiam waszmościom częstochowskiego Hektora i wiernego sługę królew-

skiego, któren za wiarę, ojczyznę i majestat krew przelewał.

Tu, gdy zdziwienie jeszcze wzrosło, począł zacny pan Micliał opowiadać z wielkim zapałem, co od króla o Kmicicowych zasługach, a od samego pana Andrzeja o porwaniu księcia Bogusława słyszał, i wreszcie tak skończył:

— Nietylko więc nieprawda to jest, co książę Bogusław o tym kawalerze powiadał, ale przeciwnie: nie ma on większego wroga od pana Kmicica, i dlatego pannę Billewiczównę z Kiejdan wywiózł, aby w jakikolwiek sposób zemstę nad nim wywrzeć.

— I nam ten kawaler życie ocalił i konfederackie chorągwie przed księciem wojewodą ostrzegł — zawołał pan Zagłoba. — Wobec takich zasług, za nic dawne grzechy! Dla Boga! dobrze, że z tobą, panie Michale, nie sam do nas przyszedł, dobrze też, że chorągiew nasza za miastem, bo okrutna w laudańskich przeciwko niemu zawziętość, i zanimby zipnął, wprzódby go byli na szablach roznieśli.

— Witamy waszmości całem sercem, jako brata i przyszłego kommilitona! — rzekł Jan Skrzetuski.

Charłamp aż się za głowę brał.

— Taki się nigdy nie pogrąży! — mówił — z każdej strony wypłynie i jeszcze sławę na brzeg wyniesie!

— A nie mówiłem wam tego ?! — wołał Zagłoba; — jakem go tylko w Kiejdanach ujrzał, zarazem sobie pomyślał: to żołnierz i rezolut! I pamiętacie, że wnet poczęliśmy się w gębę całować. Prawda, że za moją przyczyną Radziwiłł pogrążon, ale i za jego. Bóg mnie natchnął w Billewiczach, żem go nie dopuścił rozstrzelać... Mości panowie, nie godzi się takiego kawalera sucho przyjmować, aby zaś nas o nieszczerość nie posądził!

Usłyszawszy to Rzędzian, wyprawił zaraz Tatara z kożuszkami, a sam zakrzątnął się z pachołkiem około napitków.

Lecz pan Kmicic myślał tylko o tem, aby się od Charłampa o wyzwoleniu Oleńki jak najprędzej wywiedzieć.

— Byłeś waść przy tem? — pytał.

— Prawie żem się z Kiejdan nie ruszał — odrzekł nosacz. — Przyjechał książę Bogusław do naszego księcia wojewody. Na wieczerzę wystroił się tak, że oczy bolały patrzeć, i widać było, że mu panna Billewiczówna bardzo w oko wpadła, bo ledwie że nie mruczał z ukontentowania, jak kot, gdy go po grzbiecie głaszczą. Ale o kocie powiadają, że pacierze odmawia, a książę Bogusław, jeśli je odmawiał, to chyba djabłu na chwałę. A przymilał się, a łasił, a zalecał...

— Zaniechaj! — rzekł pan Wołodyjowski — zbyt wielką mękę temu rycerzowi zadajesz!

— Przeciwnie! Mów waść, mów! — zawołał Kmicic.

— Gadał tedy przy stole, — rzekł Charłamp, — iż nie żadna to ujma nawet i Radziwiłłom ze szlachciankami się żenić, i że on sam wołałby wziąć szlachciankę, niż one księżniczki, które mu ichmość królestwo francuscy swatali, a których nazwisk nie spamiętałem, bo takie były cudaczne, jakoby kto ogary w kniei nawoływał.

— Mniejsza z tem! — rzekł Zagłoba.

— Owóż, widocznie to mówił, aby oną pannę skaptować, co my zrozumiawszy zaraz, poczęliśmy jeden na drugiego spoglądać i mrugać, słusznie mniemając, że się potrzask na inocencję gotuje.

— A ona? a ona?!... — pytał gorączkowo Kmicic.

— Ona, jako to dziewka z wielkiej krwi i górnej maniery, żadnego nie pokazowała ukontentowania, zgoła na niego nie patrząc, dopieroż gdy o waszmość panu mówić książę Bogusław począł, zaraz w niego utkwiła oczy. Straszna rzecz, co się stało, gdy powiedział, iżeś mu się wasza mość ofiarował za ileś tam dukatów króla porwać i żywego albo umarłego Szwedom dostawić. Myśleliśmy, że dusza z panny wyjdzie, ale cholera na waćpana tak była w niej wielka, że słabość niewieścią przemogła. Jak on też zaczął prawić, z jaką abominacją waszmościne propozycje odrzucił,

dopieroż zaczęła go wielbić i wdzięcznie nań spoglądać, a potem już i ręki mu nie umknęła, gdy ją od stołu chciał odprowadzić.

Kmicic oczy dłońmi zatknął.

— Bijże, bij! kto w Boga wierzy! — powtarzał.

Nagle zerwał się z miejsca.

— Bądźcie waszmościowie zdrowi!

— Jakże to? dokąd? — pytał Zagłoba, zastąpiwszy mu drogę.

— Król mi permisję da, a ja pojadę i znajdę go! — mówił Kmicic.

— Na rany Boskie! czekaj waść! Jeszcześ się wszystkiego nie dowiedział, a szukać go masz czas. Z kim pojedziesz? gdzie go znajdziesz?

Kmicic może byłby nie słuchał, ale sił mu zbrakło, gdyż był ranami wycieńczon, więc obsunął się na ławę, i plecami wsparłszy się o ścianę, przymknął oczy.

Zagłoba podał mu kielich wina, a on chwycił go drżącemi rękoma, i rozlewając płyn na brodę i piersi, wychylił do dna.

— Niemasz tu nic straconego, — rzekł Jan Skrzetuski, — jeno roztropności trzeba tern większej, że z tak znamienitym panem sprawa. Prędkim uczynkiem, a nagłą imprezą, możesz waćpan zgubić pannę Billewiczównę i siebie.

— Wysłuchaj Charłampa do końca — rzekł pan Zagłoba.

Kmicic zacisnął zęby.

— Słucham cierpliwie.

— Czy chętnie panna wyjeżdżała, — ozwał się Cliarłamp, — tego nie wiem, bom przy jej wyjeździe nie był; wiem, że pan miecznik rosieński protestował, któremu naprzód perswadowano, potem go w cekhauzie zamknięto, a wreszcie pozwolono wolno do Billewicz odjechać. Panna w złych rękach, niema co ukrywać, bo wedle tego, co o młodym księciu powiadają, bisurmanin żaden na płeć gładką nie jest tak łasy. Gdy mu białogłowa jaka w oko wpadnie, wówczas choćby była zamężna, gotów i o to nie dbać.

— Górze! górze! — powtórzył Kmicic.

— Szelma! — krzyknął Zagłoba.

— Dziwno mi tylko to, że ją książę wojewoda zaraz Bogusławowi wydał! — rzeki Skrzetuski.

— Ja nie statysta, — odrzekł na to Charłarnp, — więc powtórzę waszmościom jeno to, co oficyjerowie powiadali, a mianowicie Ganckof, który wszystkie arcana książęce wiedział. Słyszałem na własne uszy, jak ktoś wykrzyknął przy nim: „Nie pożywi się Kmicic po naszym młodym księciu!“ — a Ganckof powiada tak: „Więcej tam polityki w tern wywiezieniu, niż afektu. Żadnej (powiada) książę Bogusław nie daruje, ale byle mu ta panna opór dała, to w Taurogach nie będzie z nią mógł uczynić, jak z innemi; bo hałasyby powstały, tam zaś księżna wojewodzina

z córką bawi, na które Bogusław musi się wielce oglądać, gdy do ręki młodej księżniczki pretenduje... Ciężko mu będzie (powiada) cnotliwego udawać, ale w Taurogach musi“.

— Kamień powinien waści spaść z serca! — zawołał pan Zagłoba — bo widać z tego, że nic dziewce nie grozi.

— To czemu ją wywiózł? — wrzasnął Kmicic.

— Dobrze, że się do mnie udajesz, — odpowiedział Zagłoba, — bo ja niejedno wnet wyrozumiem, nad czem kto inny rokby napróżno głowę łamał. Czemu ją wywiózł? Nie neguję, że mu musiała wpaść w oko, ale wywiózł ją i dlatego, aby przez nią wszystkich Billewiczów, którzy są liczni i możni, od nieprzyjacielskich uczynków przeciw Radziwiłłom powstrzymać.

— Może to być! — rzekł Charłamp. — To pewna, że w Taurogach bardzo musi żądze przyrodzone miarkować i ad extrema [1] posunąć się nie może.

— Gdzie on teraz jest?

— Książę wojewoda suponował w Tykocinie, że musi być u króla szwedzkiego w Elblągu, do którego po posiłki miał jechać. To pewna, że go teraz w Taurogach niemasz, bo go tam posłańcy nie znaleźli.

Tu Charłamp zwrócił się do Kmicica:

---

[1] do ostateczności.

— Chcesz wasza mość posłuchać prostego żołnierza, to powiem, co myślę: Jeżeli tam pannę Billewiczównę już jaka przygoda w Taurogach spotkała, albo jeżeli książę afekt w niej rozbudzić zdołał, to wasza mość nie masz tam poco jechać; — jeżeli zaś nie, jeżeli jest przy księżnej pani i z nią razem do Kurlandji pojedzie, to tam bezpieczniejsza, niż gdziekolwiek, i lepszego miejsca nie znalazłbyś wasza mość dla niej w całej tej Rzeczypospolitej, zalanej płomieniem wojny.

— Jeśliś waść taki rezolut, jako powiadają, a jak i ja sam mniemam, — wtrącił Skrzetuski, — to naprzód ci Bogusława dostać, a mając go w ręku, wszystko otrzymasz.

— Gdzie on teraz jest? — powtórzył Kmicic, zwracając się do Charłampa.

— Jużem waszej mości powiedział, — odparł nosacz, — ale wasza mość od zgryzot się zapamiętywasz. Suponuję, że jest w Elblągu i pewnie wraz z Carolusem Gustawem w pole przeciw panu Czarnieckiemu ruszy.

— Waść zaś najlepiej uczynisz, gdy z nami do pana Czarnieckiego ruszysz, bo w ten sposób prędko się z Bogusławem spotkać możecie — rzekł pan Wołodyjowski.

— Dziękuję waszmościom za życzliwe rady! — zawołał Kmicic.

I począł się żegnać żywo ze wszystkimi, oni zaś nie zatrzymywali go, wiedząc, że człek

strapiony ni do rozmowy, ni do kielicha niezdatny, natomiast pan Wołodyjowski rzekł:

— Odprowadzę waszmość do arcybiskupiego pałacu, boś tak zalterowan, że jeszcze gdzie na ulicy padniesz.

— I ja! —rzekł Jan Skrzetuski.

— To chodźmy wszyscy! — dodał Zagłoba.

Przypasali więc szable, nałożyli burki ciepłe, i wyszli. Na ulicach jeszcze więcej było ludzi, niż poprzednio. Co chwila spotykali oddziały zbrojnej szlachty, żołnierzy, sług pańskich i szlacheckich, Ormian, Żydów, Wołochów, ruskich chłopów z przedmieść popalonych w czasie dwóch napadów Chmielnickiego.

Kupcy stali przed swemi sklepami, okna domów pełne były głów ciekawych. Wszyscy powtarzali, że czambulik już nadszedł i że niebawem przeciągnie przez miasto, ażeby prezentować się królowi. Kto żyw, chciał widzieć ów czambulik, bo wielka to była osobliwość spoglądać na Tatarów przejeżdżających spokojnie przez ulice grodu. Inaczej dotąd Lwów widywał tych gości, a raczej widywał ich tylko za murami, w postaci chmur nieprzejrzanych, na tle płonących przedmieść i okolicznych wiosek. Teraz mieli wjechać jako sojusznicy przeciw Szwedom. To też rycerze nasi zaledwie mogli utorować sobie przez tłumy drogę. Co chwila okrzyki — Jadą! jadą! — przebiegały z jednej ulicy na

drugą, a wówczas tłumy zbijały się w tak gęste masy, że ani podobna było kroku postąpić.

— Ha! — rzekł Zagłoba — przystańmy nieco. Panie Michale, przypomną nam się niedawne czasy, gdyśmy to nie zboku, ale wprost w ślepia patrzyli tym skurczybykom. A jaż to i w niewoli u nich siedziałem. Powiadają, że przyszły chan kubek w kubek do mnie podobny... Ale co tam przeszłe zbytki wspominać !

— Jadą! jadą! — rozległo się znów wołanie.

— Bóg serca psubratów odmienił, — mówił dalej Zagłoba, — że zamiast krainy ruskie pustoszyć, w sukurs nam idą... Cud to wyraźny! Bo powiadam wam, iż gdyby za każdego poganina, którego ta stara ręka do piekła wysłała, jeden grzech mi był odpuszczony, jużbym był kanonizowany [1] i wigilję musielibyście do mnie pościć, albo byłbym na wozie ognistym żywcem do nieba porwań.

— A pamiętasz waćpan, jak to było wonczas, gdyśmy to z nad Waładynki od Raszkowa do Zbaraża jechali?...

— Jakże nie pamiętam?! Coś to w wykrot wpadł, a ja za nimi przez gąszcza aż do gościńca pognałem. To, jakeśmy po ciebie wrócili, wszystko rycerstwo nie mogło się oddziwić, bo co kierz [2], to jedna bestja leżała.

---

[1] uznany za świętego. [2] krzak.

Pan Wołodyjowski pamiętał, że wonczas było wcale liaodwrót, ale zrazu nic nie odrzekł, bo się bardzo zdumiał, nim zaś ochłonął, głosy po raz dziesiąty, czy któryś poczęły wołać:

— Jadą! jadą!...

Okrzyk stał się powszechny, potem ucichło — i wszystkie głowy zwróciły się w tę stronę, z której czambulik miał nadciągnąć. Jakoż zdała ozwała się wrzaskliwa muzyka, tłumy zaczęły się rozstępować ze środka ulicy ku ścianom domostw, z końca zaś ukazali się pierwsi tatarscy jeźdźcy.

— Patrzcie! i kapelę mają ze sobą, to u Tatarów niezwyczajna rzecz.

— Bo się clicą jak najlepiej zaprezentować, — odrzekł Jan Skrzetuski; — ale przecie niektóre czambuły mają swoich muzykantów, którzy im przygrywają, gdy koszem gdzie na dłuższy czas zapadną. Wyborowy też to musi być komunik!

Tymczasem jeźdźcy zbliżyli się i poczęli przeciągać mimo. Naprzód jechał na srokatym koniu śniady, jakoby w dymie uwędzony Tatar, dwie piszczałki w gębie mający. Ten, przechyliwszy wtył głowę i zaniknąwszy oczy, przebierał po owych dudkach palcami, wydobywając z nich tony piskliwe i ostre, a tak szybkie, że ucho zaledwie je ułowić mogło. Za nim jechało dwóch trzymających kije, przybrane na górnych końcach w mosiężne

brzękułki i potrząsających niemi jakoby z wściekłością; tuż dalej kilku dźwiękało przeraźliwie w miedziane talerze, inni bili w bębny, inni grali kozacką modą na teorbanach, wszyscy zaś, z wyjątkiem piszczalników, śpiewali, a raczej wyli od czasu do czasu do wtóru dziką pieśń, błyskając przytem zębami i przewracając oczy. Za tą niesforną i dziką muzyką, która przesuwała się jak gomon[1] przed mieszkańcami Lwowa, człapał po cztery konie w rzędzie cały oddział, złożony z około czterystu ludzi.

Był to istotnie wyborowy komunik, na pokaz i cześć królowi polskiemu, do jego rozporządzenia, jako zadatek przez chana przysłany. Dowodził nim Akbah-Ułan, z dobrudzkich, zatem najtęższych w boju Tatarów, — stary i doświadczony wojownik, wielce w ułusach dla swojego męstwa i srogości szanowany. Jechał on teraz w środku, między muzyką a resztą oddziału, przybrany w różową aksamitną, ale mocno wypłowiałą i za ciasną na jego potężną figurę szubę, wytartemi kunami podbitą. Na brzuchu trzymał piernacz, taki, jakiego zażywali pułkownicy kozaccy. Czerwona jego twarz stała się od chłodnego wiatru siną — i kołysał się nieco na wysokiej kulbace, od czasu do czasu spoglądał na boki, albo obracał głowę ku swym Tatarom, jakoby

---

[1] zjawa fantastycznych widziadeł.

nie był zupełnie pewien, czy wytrzymają na widok tłumów, niewiast, dzieci, sklepów otwartych, towarów kosztownych, i czy nie rzucą się z dzikim okrzykiem na te cuda.

Lecz oni jechali spokojnie, jako psy na sforze prowadzone i bojące się harapa, i tylko z ponurych a łakomych spojrzeń można było dociec, co się dzieje w duszach tych barbarzyńców. Tłumy zaś patrzyły na nich ciekawie, chociaż prawie nieprzyjaźnie, tak wielka była w tych stronach Rzeczypospolitej przeciw pogaństwu zawziętość. Od czasu do czasu zrywały się okrzyki: „A hu! a liu!“ — jakoby na wilków. Byli wszelako i tacy, którzy siła sobie obiecywali po nich.

— Okrutnego stracha Szwedzi przed Tatarami mają i ponoś żołnierze dziwy sobie o nich prawią, od czego terror [1] coraz wzrasta — mówili patrzący na Tatarów.

— I słusznie — odpowiadali inni. — Nie rajtarom to Carolusa z Tatarami wojować, którzy, a zwłaszcza dobrudzcy, i naszej jeździe czasem dotrzymują. Nim się ów ciężki rajtar obejrzy, już go Tatar na arkan weźmie.

— Grzech pogańskich synów w pomoc wzywać! — odzywały się głosy.

— Grzech nie grzech, a taki się przydadzą!

— Bardzo przystojny czambulik! — mówił pan Zagłoba.

[1] trwoga.

Rzeczywiście, Tatarzy owi dobrze byli przybrani, w kożuchy białe, czarne i pstre, wełną do góry; czarne łuki i sahajdaki 1 pełne strzał kołysały im się na plecach, każdy miał przytem szablę, co niezawsze w wielkich czambułach bywało, gdyż biedniejsi na takowy zbytek zdobyć się nie mogli, posługując się w ręcznym boju szczęką końską, do kija przywiązaną. Ale byli to ludzie, jak się rzekło, napokaz, więc niektórzy mieli nawet i samopały, pochowane w wojłokowych pokrowcach, a wszyscy siedzieli na dobrych koniach, drobnych wprawdzie, dość chudych i nisko długogrzywe łby noszących, lecz nieporównanej szybkości w biegu.

W środku oddziału szły cztery wielbłądy jeszcze; tłum zgadywał, że w tych jukach znajdowały się dary chanowe dla króla; ale w tern się mylono, bo chan wołał brać dary, niż dawać; obiecywał wprawdzie posiłki, ale nie darmo.

To też, gdy oddział minął, pan Zagłoba rzekł:

— Drogo te auxilia będą kosztowały! Niby to sprzymierzeńcy, ale i oni kraju naniszczą... Po Szwedach i po nich jednego dachu całego w Rzeczypospolitej nie zostanie.

— Pewnie, że okrutnie to ciężki socjusz[2] — odrzekł Jan Skrzetuski. — Znamy ich już! [1]

---

[1] sajdaki, kołczany. [2] sprzymierzeniec.

— Słyszałem jeszcze w drodze, — rzekł pan Michał, — że król nasz jegomość taką umowę zawarł, iż do każdych pięciuset ordyńców ma być dodany nasz oficyjer, przy którym będzie komenda i prawo kary. Inaczej istotnieby ci przyjaciele niebo a ziemię jeno zostawili.

— A tenże czambułek?... Co też król z nim uczyni?

— Do rozporządzenia królewskiego ich chan przysłał, tak prawie jakoby w darze, a chociaż sobie i za nich policzy, przecie król może uczynić z nimi, co zechce, i pewnie ich panu Czarnieckiemu razem z nami podeszłe.

— No! to już pan Czarniecki w ryzach utrzymać ich potrafi.

— Chybaby mieszkał między nimi, inaczej zaraz za jego oczyma zaczną zbytkować. Nie może być, tylko i tym zaraz oficyjera dodadzą.

— I ten będzie dowodził? A ów-że tłusty aga co będzie czynił?

— Jeśli nie trafi na kpa, to będzie rozkazy spełniał.

— Bądźcie waszmościowie zdrowi! bądźcie mi zdrowi! — zakrzyknął nagle Kmicic.

— Dokąd tak śpieszno?

— Panu do nóg paść, aby mi komendę nad tymi ludźmi powierzył!

ROZDZIAŁ VI.

Tegoż samego dnia Akbah-Ułan bił czołem królowi, a zarazem wręczał mu listy chanowe, w których ten ostatni powtarzał obietnicę wyruszenia w sto tysięcy ordy przeciw Szwedom, byle mu czterdzieści tysięcy talarów zgóry wypłacono i byle pierwsze trawy pokazały się na polach, bez czego, jako że w spustoszonym wojną kraju, trudno byłoby tak wielką moc koni wyżywić. Co zaś do owego czambuliku, to wysłał go teraz chan na dowód miłości ku „najmilszemu bratu“, aby i Kozacy, którzy o nieposłuszeństwie jeszcze zamyślali, ujrzeli widomy znak, że miłość owa trwa statecznie, i że niech jeno pierwszy odgłos o buncie dojdzie uszu chanowych, wówczas mściwy gniew jego spadnie na wszystkie Kozactwo.

Król przyjął wdzięcznie Akbah-Ułana, i obdarzywszy go pięknym dzianetem, oświadczył, że wyśle go niebawem w pole do pana Czarnieckiego, albowiem chce, aby i Szwedzi przekonali się dowodnie, jako chan daje pomoc Rzeczypospolitej. Zaświeciły się oczy Tatara, gdy usłyszał, iż pod panem Czarnieckim będzie służył, bo go znał z dawnych wojen ukraińskich i narówili ze wszystkimi agami wielbił.

Mniej natomiast spodobał mu się ustęp chanowego listu, proszący króla, aby czambulikowi dodał dobrze znającego kraj oficera,

któryby oddział prowadził, a zarazem i ludzi i samego Akbah-Ułana od rabunku i zbytków nad mieszkańcami powstrzymywał. Wołałby był zapewne Akbah-Ułan nie mieć nad sobą takiego patrona, lecz że wola chanowa i królewska były wyraźne, przeto uderzył tylko czołem raz jeszcze, kryjąc starannie niechęć, a może obiecując sobie w duszy, że nie on przed patronem, ale patron przed nim pokłony będzie wybijał.

Zaledwie Tatar się oddalił i senatorowie odeszli, gdy Kmicic, który przy boku królewskim podczas audjencji się trzymał, padł do nóg pańskich i rzekł:

— Miłościwy panie! Nie godzien jestem łaski, o którą proszę, ale tyle mi na niej, co właśnie na samem życiu, zależy. Pozwól, miłościwy ojcze, abym nad tymi ordyńcami komendę mógł objąć i z nimi zaraz w pole ruszyć.

— Nie odmawiani, — rzekł zdziwiony Jan Kazimierz, — bo lepszego przywódcy trudnoby mi dla nich znaleźć. Trzeba tam kawalera wielkiej fantazji i rezoluta, aby ich w ryzie umiał utrzymać, gdyż inaczej zaraz i naszych zaczną palić, a mordować... Temu się jeno stanowczo przeciwię, byś jutro miał ruszać, nim ci się skóra po szwedzkich rapierach zagoi.

— Czuję, że niechaj mnie jeno wiatr w polu owieje, zaraz słabość mi przejdzie

i siła we mnie wstąpi napowrót, a co do Tatarów, to już ja sobie z nimi rady dam i na miękki wosk icli ugniotę.

— Ale co ci tak pilno? Dokąd chcesz iść?

— Na Szweda, miłościwy panie!... Nic tu już więcej nie wysiedzę, bo czegom cliciał, to już mam: to jest łaskę twoją i grzechów dawniejszych odpuszczenie... Pójdę do pana Czarnieckiego razem z Wołodyjowskim, albo i zosobna będę nieprzyjaciela podchodził, jako dawniej Chowańskiego, a w Bogu ufam, że mi się poszczęści.

— Nie może inaczej być, tylko jeszcze cię coś innego ciągnie w pole!

— Jako ojcu wyznani i całą duszę wyjawię... Książę Bogusław, nie kontentując ’się potwarzą, jaką na mnie rzucił, jeszcze i dziewkę tę z Kiejdan wywiózł i w Taurogach ją więzi, albo gorzej: bo na jej uczciwość, na jej cnotę, na jej panieńską cześć nastaje... Panie miłościwy!... Rozum mi się w głowie miesza, gdy pomyślę, w jakich to rękach ona nieboga... Na mękę Pańską! mniej te rany bolą... Toż ta dziewka dotąd myśli, żem ja się temu potępieńcowi, temu arcypsu, ofiarował na majestat twój, panie, rękę podnieść... i za ostatniego wyrodka mnie ma! Nie wytrzymam, miłościwy królu, nie mogę, póki jego nie dostanę, póki jej nie wydrę... Daj mi, panie, tych Tatarów, a jać przysięgam, że nie swojej jeno prywaty będę dochodził, ale tyle

Szwedów natłukę, że ten dziedziniec łbami można będzie wymościć...

— Uspokój się! — rzekł król.

— Gdybym, panie, miał służbę dla prywaty porzucić i obrony majestatu i Rzeczypospolitej zaniechać, wstydby mi było prosić, ale tu się jedno z drugiem schodzi. Przyszła pora Szwedów bić? — jaż nic innego nie będę czynił... Przyszła pora zdrajcę ścigać, — jaż go będę ścigał do Inflant, do Kurlandji, choćby się do Septentrjonów, albo nawet za morze do Szwecji schronił, pójdę za nim!

— Mamy wiadomości, jako tuż, tuż Bogusław z Carolusem z Elbląga wyruszy.

— To im pójdę na spotkanie!

— Z takim czambulikiem? Kapeluszem cię przykryją.

— Chowański mnie w ośmdziesiąt tysięcy przykrywał, i nie przykrył.

— Co jest wiernego wojska, to pod panem Czarnieckim. Oni na pana Czarnieckiego antę omnia [1] uderzą!

— Pójdę do pana Czarnieckiego. Tern śpieszniej trzeba mu, miłościwy panie, sukurs dać.

— Do pana Czarnieckiego pójdziesz, ale do Taurogów w tak szczupłej liczbie się nie dostaniesz. Wszystkie zamki na Żmudzi nieprzyjacielowi książę wojewoda wydał i wszędzie

---

[1] przedewszystkiem.

szwedzkie prezydja stoją, a one Taurogi, widzi mi się, coś nad samą granicą pruską, od Tylży nieopodal.

— Na samej granicy elektorskiej, miłościwy panie, ale po naszej stronie, a od Tylży będzie cztery mile. Co nie mam dojść?! — dojdę i nietylko ludzi nie wytracę, ale jeszcze się do mnie po drodze siła rezolutów zbieży. I to rozważ, miłościwy panie, że gdzie się tylko pokażę, tam cała okolica na koń przeciw Szwedom siędzie. Pierwszy będę Żmudź ekscytował, jeżeli kto inny tego nie uczyni. Gdzie to teraz nie można dojechać; gdy w całym kraju, jak w garnku! Już ja zwyczajny obracać się w ukropie.

— Bo i na to nie patrzysz, że Tatarzy może i nie zechcą tak daleko iść za tobą?

— A no! a no! niech jeno nie zechcą, niech jeno spróbują! — mówił Kmicic, ściskając na samą myśl zęby; — jak ich jest czterystu, czy tam ilu, tak ich każę czterystu powiesić!... Drzew nie zbraknie!... Niech mi się popróbują buntować...

— Jędrek! — zawołał król, wpadając w dobry humor i wydymając usta, — jak mi Bóg miły, tak lepszego pasterza dla tych owieczek nie znajdę! Bierz-że ich i prowadź, gdzie ci się żywnie podoba!

—• Dziękuję, miłościwy panie! ojcze dobrotliwy! — rzekł rycerz, ściskając kolana królewskie.

— Kiedy chcesz ruszyć? — pytał Jan Kazimierz.

— Boga mi! [1] jutro!

— Może Akbah-Ułan nie zeclice, że to konie mają zdrożone?

— To go sobie każę do kulbaki na arkanie przytroczyć i piechotą pójdzie, jeżeli konia żałuje.

— Widzę już, że się z nim uporasz. Przecie dobrych, póki można, sposobów używaj. A teraz... Jędrek... dziś już późno, ale jutro chcę cię jeszcze zobaczyć... Tymczasem, weź ten pierścień: powiesz swojej regalistce, że go od króla masz i że król jej nakazuje, aby jego wiernego sługę i obrońcę statecznie miłowała...

— Dajże Boże! — mówił ze łzami w oczach junak — dajźe Boże, abym nie inaczej zginął, tylko w twojej obronie, panie miłościwy!

Tu król cofnął się, bo było już późno, a Kmicic poszedł do swej kwatery do drogi się gotować i rozmyślać, od czego począć, gdzie najpierwej jechać należy?

Przyszły mu na myśl słowa Charłampa, iż jeżeli tylko pokaże się, że księcia Bogusława w Taurogach niema, to najlepiej tam dziewczynę zostawić, bo istotnie z Taurogów, jako leżących na samej granicy, łatwo się było do Tylży, pod elektorską opiekę schronić. Zresztą, jakkolwiek Szwedzi opuścili w ostatniej

---

[1] Dalibóg!

potrzebie księcia wojewodę wileńskiego, przecie należało się spodziewać, że dla jego wdowy respekt mieć będą, zatem, byle Oleńka została pod jej opieką, to nic złego spotkać ją nie może. Jeżeli zaś do Kurlandji pojadą, to tern lepiej.

— I do Kurlandji jechać z moimi Tatarami nie mogę, — rzeki sobie Kmicic, — bo to już inne państwo.

Chodził tedy i pracował głową. Godzina płynęła za godziną, on zaś nie pomyślał jeszcze o spoczynku, i tak ożywiła go myśl nowej wyprawy, że choć rano jeszcze był słaby, teraz czuł, że wracają mu siły, i gotów był zaraz na konia siadać.

Pacholikowie skończyli wreszcie zawiązywanie troków i zbierali się iść na spoczynek, gdy nagle ktoś począł skrobać we drzwi izby.

— Kto tam? — zawołał Kmicic.

Poczem do pacholika:

— Idź-no, obacz!

Pacholik poszedł, i rozmówiwszy się za drzwiami, wrócił niebawem.

— Jakiś żołnierz chce pilno widzieć się z waszą miłością. Powiada, że się zwie Soroka.

— Puszczaj, na miły Bóg! — krzyknął Kmicic.

I nie czekając, by pacholik spełnił rozkaz, sam skoczył ku drzwiom.

— Bywaj, miły Soroka! bywaj!

Żołnierz wszedł do izby i pierwszym ru-

chem chciał paść do nóg swego pułkownika, bo był to raczej przyjaciel i sługa, równie wierny, jak przywiązany, lecz żołnierska subordynacja przemogła, więc wyprostował się i rzekł:

— Na rozkazy waszej miłości!

— Witaj, miły towarzyszu, witaj! — mówił żywo Kmicic; — myślałem, że cię tam usiekli w Częstochowie!

I ścisnął go za głowę, a potem jął nawet potrząsać jego rękoma, co mógł uczynić nie pospolitując się zbytnio, gdyż Soroka pochodził z zaścianku, z drobnej szlachty.

Dopieroż i stary wachmistrz jął obejmować kolana pańskie.

— Skąd idziesz? — pytał Kmicic.

— Z Częstochowy, wasza miłość.

— I mnie szukałeś?

— Tak jest.

— A od kogoźeście się tam dowiedzieli, żem żyw?

— Od łudzi Kuklinowskiego. Ksiądz Kordecki wielką mszę z radości celebrował na dziękczynienie Bogu. Potem, jako gruchnęło, że pan Babinicz przeprowadził króla przez góry, tak już wiedziałem, że to wasza miłość, nikt inny.

— A ksiądz Kordecki zdrów?

— Zdrów, wasza miłość, jeno niewiadomo, czyli go anieli żywcem do nieba lada dzień nie wezmą, bo to święty człowiek.

— Pewnie, że nie inaczej. Gdzieżeś to się dowiedział, żem z królem do Lwowa przybył?

— Myślałein sobie tak: skoro wasza miłość króla odprowadzał, to musi przy nim być, bałem się wszelako, że wasza miłość już może w pole wyruszył i że się spóźnię.

— Jutro z Tatary ruszam!

— To się dobrze stało, bo ja waszej miłości trzosów odwożę pełnych dwa: ten, co był na mnie, i jegomościn, a oprócz tego one kamuszki świecące, cośmy je z kołpaków bojarom zdejmowali, i te, które wasza miłość zabrał wtedy, gdyśmy to skarbczyk Chowańskiegó zagarnęli.

— Dobre były czasy, gdyśmy skarbczyk ogarnęli, ale nie musi tam tego już wiele być, bom też przygarstkę [1] księdzu Kordeckiemu zostawił.

— Nie wiem, ile jest, jeno ksiądz Kordecki właśnie mówił, że możnaby za to dwie tęgie wsie kupić.

To rzekłszy, Soroka zbliżył się do stołu i począł zdejmować z siebie trzosy.

— A kamuszki w onej blaszance — dodał, kładąc obok trzosów żołnierską manierkę na wódkę.

Pan Kmicic, nic nie mówiąc, wytrząsnął w garść nieco czerwonych złotych, bez rachuby, i rzekł do wachmistrza:

---

[1] garść.

— Masz!

— Do nóg upadam waszej miłości! Ej! żeby to ja miał w drodze choć jeden takowy dukacik!

— Albo co? — spytał rycerz.

— Bom okrutnie z głodu osłabł. Mało gdzie teraz człekii kawałkiem chleba poczęstują, bo każdy się boi, to i nogi wkońcu ledwie z głodu wlokłem.

— Na miły Bóg! przecieś to wszystko miał przy sobie!

— Nie śmiałem bez permisji — rzekł krótko wachmistrz.

— Trzymaj! — rzekł Kmicic, podając mu drugą garść.

Poczem krzyknął na pacliolików:

— Nuże, szelmy! Jeść mu dać, nim pacierz minie, bo łby pourywam!

Pacholikowie skoczyli jeden przez drugiego, i wkrótce stanęła przed Soroką ogromna misa wędzonej kiełbasy i flaszka z wódką.

Żołnierz wpił pożądliwe oczy w posiłek, wargi i wąsy mu drgały, lecz siąść przy pułkowniku nie śmiał.

— Siadaj, jedz! — zakomenderował Kmicic.

Ledwie skończył, już sucha kiełbasa poczęła chrzęścić w potężnych szczękach Soroki. Dwaj pacholikowie patrzyli na niego, wytrzeszczając oczy.

— Ruszajcie precz! — zawołał Kmicic.

Chłopcy kopnęli się co duchu za drzwi; ry-

cerz zaś chodził śpiesznemi krokami po komnacie i milczał, nie chcąc przeszkadzać wiernemu słudze. Ten zaś, ilekroć nalał sobie kieliszek gorzałki, tylekroć spoglądał zukosa na pułkownika, w obawie, czy zmarszczenia brwi nie dostrzeże, poczem wychylał napitek, zwracając się ku ścianie.

Kmicic chodził, chodził, wreszcie począł sam z sobą rozmawiać.

— Nie może być inaczej! — mruczał — trzeba tam tego posłać... Każę powiedzieć jej... — Na nic! Nie uwierzy!... Listu czytać nie zechce, bo mnie za zdrajcę i psa ma... Niech jej w oczy nie lezie, jeno niechaj patrzy, i mnie da znać, co się tam dzieje.

Tu zawołał nagle:

— Soroka!

Żołnierz zerwał się tak szybko, że mało stołu nie przewrócił, i wyciągnął się jak struna.

— Wedle rozkazu!

— Tyś człek wierny i w potrzebie frant. Pojedziesz w daleką drogę, ale nie o głodzie.

— Wedle rozkazu!

— Do Taurogów, na granicę pruską. Tam panna Billewiczówna mieszka... u księcia Bogusława... Dowiesz się, czy on tam jest... i będziesz miał na wszystko oko... Jej w oczy nie leź, chyba, iżby się zdarzyło, żeby samo wypadło. Wonczas powiesz jej i zaprzysięgniesz, żem króla przez góry przeprowadził i że przy

jego osobie jestem. Ona ci pewnie nie uwierzy, bo mnie tam książę oczernił, że na zdrowie majestatu nastaję, co jest łgarstwo psa godne!

— Wedle rozkazu!

— W oczy, powiedziałem, nie leź, bo i tak ci nie uwierzy... Ale gdyby się zdarzyło, powiedz co wiesz. A bacz na wszystko i słuchaj! A sam się pilnuj, bo jeżeli książę tam jest, i jeśli cię pozna, on, albo ktokolwiek z dworu, to cię na pal wbiją!

— Wedle rozkazu!

— Byłbym posłał starego Kiemlicza, ale on na tamtym świecie, bo w parowie usieczon, a synowie są głupi. Ci pójdą ze mną. Byłeś w Taurogach?

— Nie, wasza miłość.

— Pójdziesz do Szczuczyna, stamtąd samą granicą pruską, hen! aż do Tylży. Taurogi będą o cztery mile naprzeciw, po naszej stronie. Siedź w Taurogach tak długo, póki wszystkiego nie wymiarkujesz, a potem wracaj. Znajdziesz mnie tam, gdzie będę... Rozpytuj o Tatarów i pana Babinicza. A teraz ruszaj spać do Kiemliczów!... Jutro w drogę!

Po tych słowach Soroka odszedł, Kmicic zaś długo jeszcze spać się nie kładł, ale wreszcie zmęczenie przemogło. Wówczas rzucił się na łoże i zasnął snem kamiennym.

Nazajutrz wstał orzeźwion wielce i silniejszy, niż wczora. Cały dwór już był na nogach

i rozpoczęły się zwykłe dzienne czynności. Kmicic poszedł naprzód do kancelarji po nominację i po list żelazny, następnie odwiedził Subaghazi beja, naczelnika chanowego poselstwa we Lwowie, i miał z nim długą rozmowę.

W czasie tej rozmowy zanurzał pan Andrzej po dwakroć rękę w kalecie. Zato też, gdy wychodził, Subaghazi pomieniał się z nim na kołpaki, wręczył mu pieniacz z zielonych piór i kilka łokci również zielonego jedwabnego sznura.

Zaopatrzony w ten sposób, wrócił pan Andrzej do króla, który był właśnie ze mszy przyjechał, więc padł jeszcze raz młody junak do nóg pańskich, poczem w towarzystwie Kiemliczów i pachołków udał się wprost za miasto, gdzie Akbali-Ułan stał z czambułem.

Stary Tatar przyłożył na jego widok rękę do czoła, ust i piersi, ale dowiedziawszy się, kto jest Kmicic i z czem przyjechał, wnet nasrożył się; twarz mu pociemniała i oblokła się dumą.

—' Skoro cię król na przewodnika przysłał, — rzekł do Kmicica w łamanym rusińskim języku, — to będziesz mi drogę pokazywał, chociaż ja i sam trafiłbym, gdzie potrzeba, a tyś młody i niedoświadczony.

— Zgóry mi przeznacza, czem mam być, — pomyślał Kmicic, — ale póki można, będę politykował.

Tu ozwał się głośno:

— Akbaliu-Ułanie, król mnie tu na wodza, nie na przewodnika przysyła... I to ci powiem, że lepiej uczynisz, woli jego królewskiej mości nie negując.

— Nad Tatarami chan, nie król, stanowi! — odrzekł Akbah-Ułan.

— Akbahu-Ułanie, — powtórzył z naciskiem pan Andrzej, — chan darował cię królowi, jakoby mu psa albo sokoła darował, dlatego nie uwłaczaj mu, aby cię zaś jako psa na powróz nie wzięto.

— Ałła! — krzyknął zdumiony Tatar.

— Ejże, nie rozdrażniaj mnie! — odrzekł Kmicic.

Lecz oczy Akbaha-Ułana krwią zaszły. Przez czas jakiś słowa nie mógł przemówić; żyły na karku mu spęczniały, ręka chwyciła za kindżał.

— Kęsim! kęsim! — krzyknął przy duszonym głosem.

Ale i pan Andrzej, chociaż obiecał sobie politykować, miał już dosyć, gdyż bardzo z natury był porywczy. Więc w jednej chwili podrzuciło nim coś tak, jakby go gadzina żgnęła, całą dłonią porwał Tatara za rzadką brodę, i zadarłszy mu głowę do góry, tak, jakgdyby mu coś na pułapie chciał pokazać, począł mówić przez zaciśnięte zęby:

— Słuchaj, kozi synu! Wołałbyś nikogo nad sobą nie mieć, by palić, rabować, wy ci-

nać!... Przewodnikiem chcesz mnie mieć! Ot, masz przewodnika! masz przewodnika!

I przyparłszy go do ściany, począł tłuc głowę jego o zrąb.

Puścił go wreszcie osłupiałego, ale nie sięgającego już do noża. Kmicic, idąc za popędem swej gorącej krwi, odkrył mimowoli najlepszy sposób przekonywania ludzi wschodnich, do niewolnictwa przywykłych. Jakoż w potłuczonej głowie Tatara, mimo całej wściekłości, jaka go dusiła, błysnęła zaraz myśl, jak potężnym i władnym być musi ów rycerz, który z nim, Akbah-Ułanem, postępuje w ten sposób, i okrwawione wargi jego powtórzyły po trzykroć wyraz:

— Bagadyr! [1] Bagadyr! Bagadyr!

Kmicic tymczasem nałożył na głowę kołpak Subaghaziego, wyciągnął zielony piernacz, który aż dotąd umyślnie trzymał za plecami, za pas wetknięty, i rzekł:

— Patrz tu, rabie! — i tu!

— Ałła! — ozwał się przerażony Ułan.

— I tu! — dodał Kmicic, wydobywając sznur z kieszeni.

Lecz Akbah-Ułan leżał już u jego nóg i bił czołem.

W godzinę później Tatarzy wyciągnęli się długim wężem po drodze, wiodącej ze Lwowa ku Wielkim Oczom, a pan Kmicic, siedząc na

---

[1] tytuł zaszczytny u Tatarów.

dzielnym cisawym koniu, którego król mu podarował, oganiał czambuł, jak pies owczarski ogania owce. Akbali-Ułan spoglądał na młodego junaka z przestrachem i podziwieniem.

Tatarzy, znawcy ludzi wojennych, odgadli na pierwszy rzut oka, że pod tym wodzem nie zbraknie im krwi i łupu, więc szli ochotnie, ze śpiewaniem i graniem.

Kmicicowi zaś serce rosło, gdy patrzył na owe postacie, podobne do zwierząt leśnych, bo przybrane w kożuchy i wielbłądzie kaftany wełną do góry. Fala dzikich głów kołysała się pod miarę końskich ruchów, on zaś liczył je i rozmyślał, co będzie można z taką potęgą przedsięwziąć.

— Osobliwszyż to komunik, — myślał sobie, — i tak mi się wydaje, jakobym stadu wilków przywodził, ale z takimi właśnie można przejść całą Rzeczpospolitą i całe Prusy przetratować. Czekajże, książę Bogusławie !

Tu chełpliwe myśli poczęły mu napływać do głowy, gdyż do chełpliwości wielce był skłonny.

— Bóg dał człeku obrotność, — mówił sobie: — wczoraj miałem jeno dwu Kiemliczów, a dziś czterysta koni za mną człapie. Niech jeno taniec rozpocznę, będę miał tysiąc albo i dwa takich hultajów, żeby się ich i dawni kompanjonowie nie powstydzili... Czekajże, książę Bogusławie!

Lecz po chwili, dla uspokojenia sumienia, dodał:

— A przytem ojczyźnie i majestatowi znacznie usłużę...

I wpadł w wyborny humor. Bawiło go też niezmiernie i to, że szlachta, żydzi, chłopi, nawet większe kupki pospolitego ruszenia, nie mogły się oprzeć w pierwszej chwili przerażeniu na widok jego wojska. A była mgła, bo odwilż przesyciła wilgotnym tumanem powietrze. Więc coraz to się zdarzało, że ktoś nadjeżdżał blisko i nagle spostrzegłszy, kogo ma przed sobą, wykrzykiwał:

— Słowo stało się ciałem!

— Jezus, Mar ja, Józef!

— Tatarzy! orda!

Lecz Tatarzy mijali spokojnie bryki, wozy ładowne, stada koni i przejeżdżających. Inaczejby było, gdyby wódz pozwolił, ale samowolnie nic przedsięwziąć nie śmieli, bo na własne oczy patrzyli przy wyruszeniu, jako temu wodzowi sam Akbah-Ułan strzemię trzymał.

Tymczasem Lwów już zniknął w dali za mgłami. Tatarzy przestali śpiewać i czambuł poruszał się zwolna wśród tumanów pary, podnoszącej się z koni. Nagle tętent rumaka rozległ się za czambułem.

Po chwili ukazało się dwóch jeźdźców. Jeden z nich był pan Wołodyjowski, drugi dzierżawca z Wąsoszy. Obaj, pomijając oddział, pędzili wprost do pana Kmicica.

— Stój! stój! — wołał mały rycerz.

Kmicic wstrzymał konia.

— To wasza mość!

Wołodyjowski osadził zkolei szkapę.

— Czołem! — rzekł — listy od króla! Jeden do waszmości, drugi do wojewody witebskiego.

— Jaż do pana Czarnieckiego jadę, nie do pana Sapiehy.

— Przeczytaj jeno naprzód pismo!

Kmicic złamał pieczęć i czytał co następuje:

„Dowiadujemy się przez gońca, świeżo od pana wojewody witebskiego przybyłego, jako pan wojewoda nie może tu do krajów małopolskich ciągnąć i z drogi znów na Podlasie nawraca, a to z przyczyny księcia Bogusława, który z wielką potęgą nie przy królu szwedzkim zostawa, lecz na Tykocin i na pana Sapiehę uderzyć zamyśla. Że zaś magna pars sił pana Sapieżyńskich na prezydjach zostać musiała, przeto rozkazujemy ci, abyś z owym tatarskim komunikiem panu wojewodzie szedł w pomoc. A gdy i twojej ochocie w ten sposób zadość się czyni, niepotrzebniebyśmy mieli ci pośpiech nakazywać. Drugi list oddasz wojewodzie, w którym pana Babinicza, wiernego sługę naszego afektom wojewodzińskim, a przedewszystkiem opiece Boskiej polecamy. — Jan Kazimierz, król“.

— Na miły Bóg! na miły Bóg! Oto szczę-

śliwa dla mnie nowina! — zawołał Kmicic. — Nie wiem już, jako królowi jegomości i waszmości panu mam za nią podziękować!

— Sam też podjąłem się jechać, — odrzekł mały rycerz, — a to z kompasji dla waszmości, bom widział twoją boleść, i dlatego, aby listy na pewno doszły.

—- Kiedyż ów goniec przyszedł?

— Byliśmy u króla na obiedzie, ja, dwaj panowie Skrzetuscy, pan Charłamp i pan Zagłoba. Nie wyimainujesz sobie waćpan, co tam pan Zagłoba wyprawiał, jako o niezaradności Sap ja i swoich zasługach opowiadał. Dość, że królowi aż słozy od ustawicznego rzechotania się płynęły, a obaj hetmani za boki bezustanku się trzymali. Wtem wszedł pokojowiec z listem, na którego król zaraz się obruszył: „Idź do kata (rzecze), może zła nowina, nie psuj mi uciechy!“ Dopieroż gdy się dowiedział, że to od pana Sapiehy, zabrał się do czytania. Jakoż złą nowinę wyczytał, bo się potwierdziło to, o czem już dawno mówiono, że elektor przysięgi wszystkie złamał i ostatecznie przeciw prawemu panu z królem szwedzkim się połączył.

— Jeszcze jeden wróg, jakoby ich mało dotąd było! — krzyknął Kmicic.

I złożył ręce.

— Boże wielki! Niech mi jeno na tydzień pan Sapieha do Prus Książęcych pozwoli,

a da Bóg miłosierny, że dziesiąte pokolenia mnie i moich Tatarów wspominać będą!...

— Może to być, że tam pójdziecie, — odrzekł pan Michał, — ale wprzód musicie Bogusława znosić, gdyż właśnie wskutek onej elektorskiej zdrady zaopatrzono go w ludzi i na Podlasie mu iść dozwolono.

— To się spotkamy, jako dziś dzień, jako Bóg na niebie, tak się spotkamy! — mówił z iskrzącemi oczyma Kmicic. — Gdybyś mi waszmość nominację na województwo wileńskie przywiózł, nie ucieszyłbyś mnie lepiej!

— Król też zaraz zakrzyknął: „Gotowa dla Jędrka ekspedycja, od której dusza się w nim uraduje“. Chciał też wnet pokojowego za waścią wysłać, ale ja powiadam: Sam pojadę, to go jeszcze pożegnam.

Kmicic przechylił się na koniu i chwycił małego rycerza w objęcia.

— Bratby tyle dla mnie nie uczynił, ileś już waszmość uczynił! Dajże Boże czemkolwiek się wywdzięczyć!

— Ba! Przecie waćpana rozstrzelać chciałem.

— Bom też czego lepszego był nie wart. Nic to! Niech mnie w pierwszej bitwie usieką, jeżeli pomiędzy wszystkiem rycerstwem bardziej kogo od waćpana miłuję!...

Tu znowu poczęli się ściskać, na pożegnanie zaś rzekł pan Wołodyjowski:

— A pilnuj się z Bogusławem! pilnuj się, bo z nim niełatwo!

— Jednemu z nas już śmierć pisana!

— Dobrze!

— Ej, żebyś to waszmość, któryś jest do szabli jenjusz, swoje arkana mi odkrył! Cóż! niema czasu!... Ale i tak anieli mi pomogą i krew jego obaczę, chyba, że przedtem oczy moje zamkną się na zawsze na światło dzienne.

— Bóg pomagaj!... Szczęśliwej drogi!... A dajcie tam dzięgielu[1] zdrajcom Prusakom! — rzekł pan Wołodyjowski.

— Bądźcie spokojni. Obrzydnie im luterstwo!

Tu pan Wołodyjowski kiwnął na Rzędziana, który przez ten czas z Akbahem-Ułanem rozmawiając, dawne przewagi Kmicica nad Chowańskim rozpowiadał, — poczem obaj odjechali zpowrotem do Lwowa.

Kmicic zaś zawrócił z miejsca czambułem, jako woźnica wozem zawraca, i poszedł wprost ku północy.

ROZDZIAŁ VII.

Jakkolwiek Tatarzy, a zwłaszcza dobrudzcy, umieli zbrojnym mężom w polu piersią do piersi stawać, przecie najmilszą dla nich wojną był mord bezbronnych, branie niewiast i chłopów w jasyr, a przedewszystkiem gra-

[1] tu: dobrą nauczkę.

bież. Wielce też przykrzyła się droga owemu czambulikowi, który prowadził Kmicic, pod żelazną bowiem jego ręką dzicy wojownicy musieli w baranków się zmienić, trzymać noże w pochwach, a zgaszone hubki i zwinięte łyka w biesagach. Z początku szemrali.

Około Tarnogrodu, kilkunastu umyślnie pozostało wtyle, aby puścić „czerwone ptaki“ [1] w Chmielewsku i poswawolić z mołodyciami. Lecz pan Kmicic, który już się ku Tomaszowowi posunął, wrócił na pierwszy odblask pożogi i kazał winnym wywieszać się wzajemnie. A tak już był opanował Akbali-Ułana, że ten nietylko oporu nie stawiał, ale przynaglał skazanych, aby prędzej się wieszali, gdyż inaczej „bagadyr“ będzie się gniewał. Odtąd „barankowie“ szli spokojnie, zbijając się w najciaśniejsze kupy po wsiach i miasteczkach, aby na którego podejrzenie nie padło. I egzekucja, choć ją tak srodze przeprowadził Kmicic, nie wzbudziła nawet przeciw niemu niechęci, ani nienawiści, takie już bowiem miał szczęście ów zabijaka, że zawsze podwładni tyle właśnie czuli dlań miłości, ile i strachu.

Prawda, że pan Andrzej nie dał i im krzywdy uczynić. Kraj był srodze przez niedawny napad Chmielnickiego i Szeremeta spustoszony, więc o żywność i paszę, jako na przednówku, było trudno, — a mimo tego

---

[1] pożar.

wszystko musiało być na czas i w bród, a w Krynicach, gdy mieszkańcy opór stawili i nie chcieli żadnej spyży dostarczyć, kazał ich kilku pan Andrzej siec batożkami, podstarościego zaś uderzeniem obuszka rozciągnął.

Ujęło to niezmiernie ordyńców, którzy słuchając z lubością wrzasków bitych kryniczan, mówili pomiędzy sobą:

— Ej! sokół nasz Kmitah, nie da swoim barankom krzywdy uczynić!

Dość, że nietylko nie pocliudli, ale spaśli się jeszcze, ludzie i konie. Stary Ułan, któremu brzucha przybyło, spoglądał z coraz większym podziwem na junaka i językiem mlaskał.

— Gdyby mi syna Ałłah dał, chciałbym mieć takiego. Nie marłbym na starość z głodu w ułusie! — powtarzał.

Kmicic zaś od czasu do czasu uderzał go pięścią w brzuch i mówił:

— Słuchaj wieprzu! Jeśli ci Szwedzi kałduna[1] nie rozetną, to wszystkie śpiżarnie w niego schowasz!

— Gdzie tu Szwedzi? Łyka nam pogniją, łuki popróclinieją — odpowiedział Ułan, któremu tęskno było za wojną.

Jakoż istotnie jechali naprzód takim krajem, do którego noga szwedzka dojść nie zdołała, dalej zaś takim, w którym były swego czasu prezydja, ale już je konfederacja wy-

[1] tu: brzucha.

parła. Spotykali natomiast wszędzie mniejsze i większe kupy szlachty, ciągnące zbrojno w rozmaite strony, i nie mniejsze kupy chłopstwa, które nieraz zastępowały im groźnie drogę, a którym często trudno było wytłumaczyć, że mają do czynienia z przyjaciółmi i sługami króla polskiego.

Doszli wreszcie do Zamościa. Zdumieli się Tatarzy na widok tej potężnej fortecy, a cóż dopiero, gdy im powiedziano, że niedawno jeszcze wstrzymała ona całą potęgę Chmielnickiego.

Pan Jan Zamojski, ordynat, pozwolił im na znak wielkiej przychylności i łaski wejść do miasta. Wpuszczono ich bramą Szczebrzeszyńską, albo inaczej Ceglaną, gdyż dwie inne były z kamienia. Sam Kmicic nie spodziewał się ujrzeć nic podobnego, i nie mógł wyjść z podziwu na widok ulic szerokich, włoską modą pod linję równo budowanych, na widok wspaniałej kolegjaty i burs akademickich, zamku, murów, potężnych dział i wszelkiego rodzaju „opatrzenia“. Jak mało który z magnatów mógł się porównać z wnukiem wielkiego kanclerza, tak mało która forteca z Zamościem.

Lecz największy zachwyt ogarnął ordyńców, gdy ujrzeli ormiańską część miasta. Nozdrza ich chciwie wciągały woń safjanu i, którego wielkie fabryki prowadzili przemyślni przy-

---

[1] wyprawionej skóry koźlej lub baraniej.

bysze z Kaffy, a oczy śmiały im się do bakalij, wschodnich kobierców, pasów, sadzonych szabel, gindżałów, łuków, lamp tureckich i wszelkiego rodzaju kosztowności.

Sam pan cześnik koronny wielce przypadł do serca Kmicicowi. Było to prawdziwe królewiecko w swoim Zamościu: człek w sile wieku, wielce przystojny, chociaż nieco cherlawy, gdyż w leciech pierwszej młodości niedość upały natury hamował. Zawsze jednak lubił płeć białą, a zdrowie jego nie do tyła było nadwątlone, aby wesołość znikła mu z oblicza. Dotychczas nie ożenił się, a jakkolwiek najznamienitsze domy w Rzeczypospolitej otwierały mu szeroko podwoje, utrzymywał, że nie może dość gładkiej dziewki w nich znaleźć. Znalazł ją później nieco, w osobie młodej panienki francuskiej, która, lubo w innym zakochana, oddała mu bez wahania dla jego bogactw swą rękę, nie przewidując, że ów pierwszy wzgardzony [1] ozdobi kiedyś koroną królewską swoją i jej głowę.

Pan Zamościa nie odznaczał się bystrym dowcipem, jeno go miał tyle, co na własną potrzebę. O godności i urzędy nie zabiegał, chociaż same szły ku niemu, a gdy przyjaciele strofowali go, iż mu przyrodzonej ambicji braknie, odpowiadał:

— Nieprawda, że mi jej braknie, jeno

---

[1] Jan Sobieski.

mam więcej od tycli, którzy się kłaniają. Poco mi dworskie progi wycierać? W Zamościu nietylko ja Jan Zamojski, ale Sobiepan Zamojski.

Zwano go też powszechnie Sobiepanem, z którego przezwiska wielce był kontent. Rad też udawał prostaka, chociaż wychowanie odebrał wykwintne i młodość na podróżach po cudzych krajach spędził. Sam powiadał się zwyczajnym szlachcicem i dużo o mierności swego „staniku“ [1] mawiał, może dlatego, by mu inni zaprzeczali, a może, by mierności dowcipu nie spostrzegli. Zresztą był to człek zacny i lepszy syn Rzeczypospolitej od wielu innych.

A jako on przypadł do serca Kmicicowi, tak i Kmicic jemu, przeto też go na pokoje zamkowe zaprosił i gościł, bo i to lubił, by jego gościnność chwalono.

Pan Andrzej poznał w zamku wiele znamienitych osób, przedewszystkiem zaś księżnę Gryzeldę Wiśniowiecką, siostrę pana Zamojskiego, a wdowę po wielkim Jeremim, po panu swego czasu w Rzeczypospolitej prawie największym, który jednakowoż całą niezmierną fortunę w czasie inkursji kozackiej był utracił, tak, iż księżna siedziała w Zamościu na łasce u brata Jana.

Lecz była to pani tak pełna wspaniałości,

---

[1] stanu.

majestatu i cnoty, iż pierwszy pan Jan prochy przed nią zdmuchiwał, a przytem bał się jej, jak ognia. Nie było też wypadku, żeby woli jej zadość nie uczynił lub żeby się jej w ważniejszych wypadkach nie radził. Powiadali nawet dworscy, że księżna pani rządzi Zamościem, armją, skarbami i panem bratem starostą; lecz ona nie chciała korzystać ze swej przewagi, całą duszą oddana boleści po mężu i wychowaniu syna.

Syn ów właśnie był niedawno z dworu wiedeńskiego na krótki czas do kraju powrócił i bawił przy niej. Był to młodzieńczyk w wiośnie lat; lecz napróżno pan Kmicic szukał w nim tych znamion, które syn wielkiego Jeremiego nosić w obliczu powinien.

Postać młodego książątka była pełna wdzięku; twarz duża, nalana, wypukłe oczy patrzyły nieśmiało; usta miał grube, wilgotne, jak u ludzi skłonnych do uciech stołu; olbrzymie i czarne, jak skrzydło kruka, włosy spadały mu aż na ramiona. Wziął też po ojcu tylko owe krucze włosy i smagłość cery.

Ci, którzy mu byli bliżsi, upewniali jednak pana Kmicica, że młody książę ma duszę szlachetną, pojęcie niepospolite i znakomitą pamięć, dzięki której prawie wszystkiemi językami rozmówić się może, i że tylko pewna ociężałość ciała i ducha, oraz przyrodzone łakomstwo w jedzeniu, stanowią wady tego niepospolitego skądinąd panięcia.

Jakoż, wdawszy się z nim w rozmowę, przekonał się pan Andrzej, że książę nietylko ma pojętny dowcip i trafny sąd o wszystkiem, ale i dar jednania sobie ludzi. Kmicic pokochał go po pierwszej rozmowie tem uczuciem, w którem jest najwięcej litości. Uczuł, że dałby wiele, by temu sierocie wrócić świetny los, jaki mu się prawem z urodzenia należał.

Lecz przekonał się także przy pierwszym obiedzie, iż prawdą było, co mówiono o łakomstwie Michała. Młody książę zdawał się nie myśleć o niczem więcej, tylko o jedzeniu. Wypukłe jego oczy śledziły niespokojnie każdą potrawę, a gdy mu przynoszono półmisek, nabierał ogromne kupy na talerz i jadł chciwie, z mlaskaniem wargami, jak tylko łakomcy jadają. Marmurowa twarz księżnej przyoblekała się na ów widok jeszcze większym smutkiem. Kmicicowi zaś stało się nieswojo, tak dalece, że odwrócił oczy i spojrzał na pana Sobiepana Zamojskiego.

Lecz pan starosta kałuski nie patrzył ani na księcia Michała, ani na swego gościa. Kmicic poszedł za jego wzrokiem, i poza ramieniem księżnej Gryzeldy ujrzał prawdziwie cudne zjawisko, którego nie zauważył dotąd.

Była to malutka główka dziewczęcia, biała jak mleko, kraśna jak róża, a wdzięczna jak obrazek. Drobniuchne, same przez się wijące się loczki zdobiły jej czoło, bystre oczki strzy-

gły ku oficerom, siedzącym wedle pana starosty, nie pomijając i jego samego; wreszcie zatrzymały się na panu Kmicicu i patrzyły nań z uporem, tak pełnym zalotności, jakby mu chciały w głąb serca zajrzeć.

Lecz Kmicic niełatwo się konfundował; więc jął zaraz patrzeć w te oczki zgoła zuchwale, a następnie trącił w bok siedzącego podle pana Szurskiego, porucznika nadwornej pancernej chorągwi ordynackiej, i spytał półgłosem :

— A co to za firka [1] ogoniasta?

—- Mości panie, — odrzekł ostro pan Szurski, — nie mów lekce[2], kiedy nie wiesz o kim mówisz... Nie żadna to firka, jeno panna Anna Borzobohata-Krasieńska... I waćpan inaczej jej nie zwij, jeśli nie chcesz swojej grubianitatis żałować!

— Aspan chyba nie wiesz, że firka to taki ptak, i bardzo wdzięczny, dlatego też żadnego w tern przezwisku kontemptu niemasz, — odparł, śmiejąc się Kmicic, — ale miarkując z waszmościnej cholery, srodze musisz być zakochany !

— A kto tu nie zakochany? — mruknął opryskliwie Szurski — sam pan starosta ledwie oczu nie wypatrzy i jako na szydle siedzi.

— Widzę to, widzę!

---

[1] sikorka. [2] lekceważąco.

— Co tam waćpan widzisz!... On, ja, Grabowski, Stołągiewicz, Konojadzki, Rubecki z dragonji, Pieczynga, — wszystkich pogrążyła... I z waćpanem stanie się to samo, jeżeli tu długo posiedzisz. Jej dwudziestu czterech godzin dosyć!

— Ej, panie bracie! Nie dałaby i we dwadzieścia cztery miesiące rady!

— Jakże to? — pytał z oburzeniem pan Szurski — toś waść ze spiżu, czy co?

— Nie! Jeno gdy kto waćpanu ostatniego talara z kieszeni ukradnie, to się nie potrzebujesz bać złodzieja...

— Chyba że tak! — odrzekł Szurski.

Kmicic zaś sposępniał nagle, bo mu własne zgryzoty na myśl przyszły, i nie zważał więcej, że czarne oczki coraz to uporczywiej w niego patrzyły, jakgdyby pytając: Jak się nazywasz i skąd się wziąłeś, młody rycerzu?

A Szurski mruczał:

— Wierci, wierci!... Wierciła tak i we mnie, póki do serca nie dowierciła... Teraz ani dba!

Kmicic otrząsnął się z zamyślenia.

— Czemu się który z was nie żeni, u kaduka !

— Bo jeden drugiemu przeszkadza!

— Ba, to dziewka gotowa osiąść na koszu... Choć, coprawda, jeszcze w tej gruszce białe ziarnka być muszą.

Na to Szurski wytrzeszczył oczy, i pochyliw-

szy się do uclia Kmicica, rzekł wielce tajemniczo :

— Mówią, że jej dwadzieścia pięć lat, jak Boga kocham! Jeszcze przed inkursją hultajską była u księżnej Gryzeldy.

— Dziw nad dziwy, nie dałbym jej nad szesnaście, niechby ośmnaście, najwyżej!

Tymczasem „licho“ domyśliło się widocznie, że o niem mowa, bo oczki jarzące nakryło powiekami i jeno boczkiem trochę strzelało ku Kmicicowi, pytając ciągle: Ktoś jest, taki urodziwy? skąd się wziąłeś?

A on mimowoli począł pokręcać wąsa.

Po obiedzie wziął go pod ramię pan starosta kałuski, który, z uwagi na dworne maniery Kmicica, traktował go jak niepowszedniego gościa.

— Panie Babinicz, — rzekł, — wszakże waszmość mówiłeś mi, żeś z Litwy?

—-Tak jest, panie starosto.

— Powiedzże mi, zali nie znasz na Litwie Podbipiętów?

— Znać nie znam, bo też już ich na świecie niemasz, przynajmniej tych, którzy się Zerwikapturem pieczętowali. Ostatni pod Zbarażem poległ. Był to największy rycerz, jakiego Litwa wydała. Kto u nas o Podbipiętach nie wie!

—■ Słyszałem i ja o tern, ale owo dlaczego pytam: jest na respekcie u siostry mojej jedna panna, która się Borzobohata-Krasień-

ska nazywa... Ród zacny!... Była ona narzeczoną tego Podbipięty, który zabit pod Zbarażem. Sierota to, bez ojca i matki, a chociaż siostra księżna wielce ją miłuje, przecie ja, przyrodzonym opiekunem siostry będąc, tern samem mam i oną dziewczynę w opiece.

— Miłaż to opieka! — wtrącił Kmicic.

Pan starosta kałuski uśmiechnął się, mrugnął oczyma i mlasnął językiem:

— Co? marcepanik! co?...

Lecz wnet spostrzegłszy, iż się zdradza, przybrał twarz poważną.

— Zdrajco! — rzekł pół żartem, a pół serjo, — chciałeś mnie na hak przywieść, ledwiem się nie wygadał!...

— Z czem? — pytał pan Kmicic, patrząc mu bystro w oczy.

Tu Sobiepan ostatecznie zmiarkował, że lotnością dowcipu gościowi nie sprosta, i zaraz rzecz obrócił.

— Ten Podbipięta — rzekł — zapisał jej jakoweś folwarki, tam w waszych stronach. Nazwisk nie pamiętam, bo cudaczne: jakieś Bałtupie, Syruciany, Myszykiszki ■— słowem, wszystko, co miał. Dalibóg nie pamiętam... Pięć czy sześć folwarków.

— Ba! klucze[1] to raczej, nie folwarki. Podbipięta był człek wielce możny, i gdyby ta panna do całej jego fortuny kiedyś doszła,

[1] majątki, składające się z kilku folwarków.

mogłaby mieć własny fraucymer i między senatorami męża szukać.

— Tak-że powiadasz? Znasz owe wioski?

— Znam jeno Lubowicze i Szeputy, bo te koło mojej majętności leżą. Samej leśnej granicy będzie mil ze dwie, a polnej i łącznej drugie tyle.

— Gdzież to jest?

— W Witebskiem.

—• Oj, daleko! nie warta ta sprawa zachodu, ile że tamte kraje pod nieprzyjacielem.

— Jak nieprzyjaciół wyżeniem, to do majętności dojdziem. Ale Podbipiętowie mają swoje majętności i w innych stronach, a na Żmudzi bardzo znaczne, — wiem o tern dobrze, bo mam też i tam kawał ziemi.

— Widzę, że i waszmościna substancja nie torba sieczki?

— Nic to teraz nie przynosi. Ale cudzego mi nie trzeba.

— Poradźże mi waszmość, jakby dziewczynę na nogi postawić?

Kmicic rozśmiał się.

— Wolę o tern radzić, niż o czerń innem. Najlepiej do pana Sapiehy się udać. Byle sprawę wziął do serca, to, jako wojewoda witebski i najznamienitsza na Litwie persona, siła mógłby wskórać.

— Mógłby awizy do trybunałów rozesłać,

że to testamentem Borzobohatej zapisano, aby dalsi krewni nie szarpali.

— Tak jest. Ale trybunałów teraz niemasz, a pan Sapieha co innego też ma na głowie.

— Możnaby dziewczynę w ręce mu i w opiekę oddać. Mając ją na oczach, prędzejby dla niej co uczynił.

Kmicic spojrzał ze zdziwieniem na pana starostę.

— Co on w tern ma, że się chce jej stąd pozbyć? — pomyślał.

Starosta zaś mówił dalej:

— Trudno, aby w obozie, w namiocie pana wojewody witebskiego mieszkała, ale mogłaby przy córkach wojewodzińskich zostawać.

— Nie rozumiem! — pomyślał Kmicic — zaliby on naprawdę cliciał jej być tylko opiekunem?

— W tern jeno trudność, jakby ją w tamte strony w dzisiejszych niespokojnych czasiech wysłać. Trzebaby z kilkaset ludzi, a ja Zamościa ogałacać nie mogę, Gdybym to znalazł kogo, coby ją w bezpieczeństwie dowiózł... Ot, waćpan mógłbyś się podjąć, bo i tak do pana Sapiehy idziesz. Dałbym ci listy... a waćpan dałbyś mi kawalerski parol, że ją bezpiecznie doprowadzisz.

— Ja mam ją do pana Sapiehy prowadzić? — rzekł ze zdumieniem Kmicic.

— Alboż to taka funkcja niemiła?... Choćby też i do afektu po drodze przyszło?...

— Ehe! — rzekł Kmicic — już tam moje afekty kto inny dzierżawi, a choć tenuty [1] mi nie płaci, przecie dzierżawcy zmieniać nie myślę.

— Tem lepiej, z tern większą spokojnością ci ją powierzę.

Nastała chwila milczenia.

— Co? podjąłbyś się? — spytał starosta.

— Z Tatarami idę.

— Powiadali mi ludzie, że się Tatarzy waćpana gorzej ognia boją. No, co? podjąłbyś się?

— Hm! dlaczegoby nie, gdybym waszą wielinożność miał tem zobowiązać... Jeno...

— Aha! myślisz, że trzeba, aby księżna permisję dała... Da! jak mi Bóg miły! Bo imaginuj sobie, że ona mnie posądza...

Tu pan starosta począł coś długo szeptać do ucha Kmicicowi, wreszcie dodał głośno:

— Okrutnie była za to na mnie krzywa, a ja uszy kładłem po sobie, bo to z babami wojować! — at! wołałbym Szwedów pod Zamościem. Ale będzie miała najlepszy dowód, że nic złego nie zamyślam, skoro sam dziewkę chcę stąd wyprawiać. Srodze się zdziwi, prawda... No! przy pierwszej sposobności o tem z nią pogadam.

To rzekłszy, starosta zakręcił się i odszedł, Kmicic zaś popatrzył za nim i mruknął:

---

[1] czynszu dzierżawnego.

— Wniki[1] jakieś, panie starosto, zastawiasz, a choć celu nie rozumiem, przecie sidło widzę dobrze, bo i wnicznik z ciebie okrutnie niezgrabny.

Pan starosta zaś kontent był z siebie, chociaż dobrze to pojmował, że połowa dopiero roboty została dokonana, a pozostawała druga, tak trudna, że na myśl o niej ogarniało go zwątpienie, a nawet i strach: poprostu należało uzyskać pozwolenie księżnej Gryzeldy, której surowości i przenikliwego rozumu bał się pan starosta z całej duszy.

Jednak począwszy, pragnął jak najprędzej doprowadzić dzieło do skutku, nazajutrz więc rano, po mszy, po śniadaniu i po przeglądzie najemnej piechoty niemieckiej, udał się na pokoje księżnej.

Zastał samą panią, haftującą ornat do kolegjaty. Za nią Anusia zwijała rozwieszony na dwóch krzesłach jedwab; drugi motek koloru różanego założyła na szyję, i migając szybko rączkami, biegała naokoło krzeseł, goniąc odwijającą się nitkę.

Panu staroście pojaśniały oczy na jej widok, ale prędko przybrał oblicze w powagę, i przywitawszy się z księżną, tak niby od niechcenia zaczął:

— Ten pan Babinicz, co tu z Tatary przyjechał, to jest Litwin. Możny jakiś człek

---

[1] sidła.

i wielce grzeczny, a rycerz podobno zawołany. Zauważyłaś go, pani siostro?

— Sani-żeś go do mnie przyprowadzał — odrzekła obojętnie księżna Gryzelda. — Uczciwą ma twarz i na dobrego żołnierza wygląda.

— Rozpytywałem się go też o owe majętności, pannie Borzoboliatej zapisane. Powiada, że to fortuna niemal radziwiłłowskiej równa.

— Daj Boże Anusi. Lżejsze jej będzie sieroctwo, a potem starość — rzekła pani.

— Jest jeno to periculum, żeby dalsi krewni nie rozdrapali. Babinicz powiada, że wojewoda witebski mógłby, gdyby ciciał, tern się zająć. Zacny to człek i nam wielce życzliwy, którémubym córkę własną powierzył... Dośćby mu awizę do trybunału posłać i opiekę oznajmić. Ale Babinicz powiada, iż na to potrzeba, aby panna Anna sama pojechała w tamte strony.

— Dokąd? do pana Sapiehy?

— Albo do panien Sapieżanek, aby tam była, aby instalacja pro forma [1] mogła być uczyniona.

Wojewoda zmyślił w tej chwili „instalację pro forma“, słusznie mniemając, że księżna przyjmie tę fałszywą monetę za dobrą.

---

[1] pozorne wprowadzenie w posiadanie.

Ona zaś pomyślała przez chwilę i rzekła:

— Jakże jej tu teraz jechać, gdy Szwedzi po drodze?

— Mam właśnie wiadomość, że z Lublina ustąpili. Cały kraj z tej strony Wisły wolny.

— I któżby to Hankę do pana Sapiehy odprowadził?

----Choćby ten sam Babinicz.

— Z Tatarami? Bójże się Boga, panie bracie, toż to lud dziki i niesforny.

— Ja się tam nie boję — wtrąciła, dygając, Anusia.

Lecz księżna Gryzelda zmiarkowała już, że pan brat przyszedł z jakimś gotowym planem, więc wyprawiła Anusię z pokoju, sama zaś poczęła spoglądać pytającym wzrokiem na pana starostę.

On zaś rzekł, jakby do siebie samego:

— Ordyńcy ci w proch się przed Babiniczem rozsypują. Wiesza ich za lada niesubordynację.

— Nie mogę na taką ekspedycję pozwolić — odpowiedziała księżna. — Dziewczyna jest zacna, ale bałamutna, i łatwo w ludziach zapały budzi... Sam to wiesz najlepiej. Nigdybym jej nie powierzyła człeku młodemu i nieznanemu.

— Nieznany on tam nie jest, bo kto o Babiniczach nie słyszał, jako o familjantach i statecznych ludziach! (pierwszy pan starosta nigdy w życiu o Babiniczach nie słyszał)...

Zresztą — mówił dalej — mogłabyś jej którą ze statecznych niewiast do kompanji dodać, to i decorum [1] byłoby zachowane. Za Babinicza ja ręczę. Powiem ci i to, pani siostro, że ma on w tamtych stronach narzeczoną, w której srodze jest, jak sam powiada, zakochany... A kto zakochany, temu co innego w głowie. Grunt w tern, że taka druga sposobność nieprędko może się trafić; natomiast może fortuna dziewie przepaść i na dojrzałe lata zostanie bez dachu nad głową.

Księżna przestała haftować, podniosła głowę i utkwiła w bracie przenikliwe oczy.

— Co ty masz w tem, żeby ją stąd wyprawić?

— Co ja mam w tem? — mówił, spuszczając wzrok, pan starosta — co mogę mieć? nic!

— Janie!... tyś się z Babiniczem zmówił na jej cnotę? !

— Ot, jest! Jak mi Bóg miły, tego tylko brakło! Przeczytasz tedy list, który do pana Sapiehy napiszę, i własny dodasz... A jać jeno przyrzekam, iż się z Zamościa nie ruszę. Wreszcie sama Babinicza wybadasz, i sama go prosić będziesz, aby się funkcji podjął. Skoro mnie posądzasz, to nie chcę o niczem wiedzieć.

— Czemu zaś tak nastajesz, by ona wyjechała z Zamościa?

---

[1] przyzwoitość.

— Bo jej dobra pragnę i o fortunę niezmierną chodzi. Wreszcie... przyznaję! Siła mi na tern zależy, aby ona z Zamościa wyjechała. Oto sprzykrzyły mi się twoje posądzenia, nie w smak i to, że na mnie ustawnie brwi marszczysz i surowie spoglądasz... Myślałem, że przyzwalając na odjazd dziewczyny, znajdę najlepsze argumentuin przeciw podejrzeniom. Dalibóg, dość mi tego! — bom też nie żaden żak, ani mydłek, który się nocą pod okna skrada... Powiem ci więcej: oficerowie mi się przez nią jeden na drugiego burzą i szablami na się trzaskają, — ni zgody, ni porządku, ni służby, jak należy. Dość mi tego! Ale skoro jeszcze oczyma we mnie świdrujesz, to rób jak chcesz, a Michała sama pilnuj, bo to twoja, nie moja sprawa.

— Michała? — rzekła ze zdumieniem księżna.

— Ja przeciw dziewczynie nic nie mówię... Nie bałamuci go więcej od innych, ale jeśli ty, pani siostro, nie widzisz jego strzelistych spojrzeń i gorących afektów, to ci jeno to powiem, że i Kupido tak nie zaślepia, jak macierzyńska miłość.

Brwi księżnej ściągnęły się, a lica jej przybladły.

Starosta zaś, widząc, że wreszcie utrafi!, uderzył się rękoma po kolanach i mówił dalej:

— Ot, tak! pani siostro, ot, tak!... Co mnie do tego! Niechże jej Michałek jedwab do zwi-

jania podaję, niech parska, patrząc na nią, niech się płoni, niech przez dziurki we drzwiach na nią spogląda!... A mnie co!... Wreszcie... bo ja wiem?!... Fortuna piękna... ród! no! szlachecki, a ja się tam nad szlachtę nie wynoszę. Chcesz sama, dobrze! Lata jeno ponoś niedobrane, ale to znów nie moja rzecz.

To rzekłszy, pan starosta powstał, i skłoniwszy się siostrze bardzo uprzejmie, zabierał się do odejścia.

Księżnej tymczasem krew napłynęła do twarzy. Dumna pani w całej Rzeczypospolitej nie widziała partji godnej Wiśniowieckiego, a zagranicą chyba między arcyksiężniczkami austrjackiemi, więc też słowa brata przypiekły ją jakby rozpalonem żelazem.

— J anie! — rzekła — czeka j!

— Pani siostro, — odrzekł starosta kałuski, — chciałem, primo: [1] złożyć ci dowód, iż niesłusznie mnie posądzasz, secundo: [2] iż powinnaś kogo innego pilnować. Teraz uczynisz, jak zechcesz, jać nie mam więcej nic do gadania.

Tu pan Zamojski skłonił się i wyszedł.

---

[1] po pierwsze. [2] po drugie.

ROZDZIAŁ VIH.

Pan starosta kałuski niezupełnie kłaniał przed siostrą, mówiąc o afektach Michałowycli dla Anusi, gdyż młode książątko kochało się w niej tak, jak i wszyscy, nie wyłączając paziów dworskich. Ale była to miłość niezbyt gwałtowna i zgoła nie przedsiębiorcza; raczej słodkie rozdurzenie głowy i zmysłów, nie poryw serca, które, miłując, do wiecznego posiadania umiłowanego przedmiotu dąży. Do takiego dążenia nie miał Michał dość energji.

Niemniej księżna Gryzelda, marząc o świetnej przyszłości dla syna, przeraziła się mocno tem uczuciem.

W pierwszej chwili zdumiała ją nagła zgoda pana starosty na wyjazd Anusi; obecnie przestała o tem myśleć, tak dalece całą jej duszę zajęło grożące niebezpieczeństwo. Rozmowa z synem, który bladł i drżał przed nią, a wprzód, nim się do czego przyznał, już począł łzy wylewać, utwierdziła ją w mniemaniu, że niebezpieczeństwo jest groźne.

Jednakże nie odrazu przezwyciężyła skrupuły sumienia, i dopiero gdy Anusia, której chciało się nowy świat i nowych ludzi zobaczyć, a może i pobałamucić pięknego kawalera, przypadła jej do nóg z prośbą o pozwolenie, księżna nie znalazła dość siły, by go jej odmówić.

Anusia zalewała się wprawdzie łzami na myśl rozłąki ze swą panią i matką, ale dla sprytnej dziewczyny było zupełnie jasnem, że prosząc o rozłąkę, oddala tern samem od siebie wszelkie podejrzenia, jakoby w jakichś zgóry powziętych celach bałamuciła młode książątko lub też samego pana starostę.

Księżna Gryzelda, chcąc się przekonać, czy niema jakiej zmowy między bratem starostą a Kmicicem, kazała temu ostatniemu stawić się przed sobą. Przyrzeczenie pana starosty, że nie ruszy się z Zamościa, uspokoiło ją wprawdzie znacznie, chciała jednak poznać bliżej człowieka, który miał dziewczynę przeprowadzać.

Rozmowa z Kmicicem uspokoiła ją zupełnie.

Młodemu szlachcicowi patrzyła z siwych oczu taka szczerość i prawda, że niepodobna było o niej wątpić. Przyznał się odrazu, że w innej zakochany i przeto do bałamuctwa nie ma ni chęci, ni głowy. Wreszcie dał parol kawalerski, iż dziewczynę obroni przed wszelką przygodą, choćby sam pierwej głową nałożył.

— Do pana Sapiehy ją dowiozę bezpiecznie, gdyż starosta powiadał, że nieprzyjaciel i z Lublina ustąpił... Ale potem nie chcę nic o niej wiedzieć... I nie dlatego, abym powolnych służb dla waszej książęcej mości miał się wzdragać, bo dla wdowy po największym

wojowniku i chwale całego narodu gotówem zawsze krew przelać... Ale że mam tam swoje ciężkie sprawy, z których nie wiem czyli skórę całą wyniosę.

— Nie chodzi też o nic więcej, — odrzekła księżna, — jeno byś ją do pana sapieżyńskich rąk oddał, a pan wojewoda uczyni to dla mnie, iż dalszej nad nią opieki nie odmówi.

Tu wyciągnęła mu rękę, którą on ze czcią największą ucałował; ona zaś rzekła jemu na pożegnanie:

— Czuwaj, panie kawalerze, czuwaj! I tern się nie ubezpieczaj, że kraj od nieprzyjaciela wolny.

Ostatnie słowa zastanowiły Kmicica, lecz nie miał czasu nad niemi rozmyślać, bo wkrótce ułapił go pan starosta.

—• Cóż, mości rycerzu, — rzekł wesoło, — największą ozdobę z Zamościa mi wywozisz?

— Ale z wolą pańską — odpowiedział Kmicic.

— Pilnujże jej dobrze. Łakomy to specjał! Gotów ci ją kto odbić!

— A niech jeno popróbuje! O wa! Dałem parol kawalerski księżnej pani, a u mnie parol święta rzecz!

— No! na śmiech jeno mówię... Nie potrzebujesz się bać, ani ostrożności nadzwyczajnych przedsiębrać.

— A taki poproszę jaśnie wielmożnego

pana o jakowąś kolaskę zamykali;} i blachami opatrzoną.

— Dam ci i dwie!... Ale przecież zaraz nie jedziesz?

— Bogać! Pilno mi! I tak tu za długo siedzę.

— To wypraw swoich Tatarów naprzód do Krasnegostawu. Ja ze swej strony pchnę gońca, ażeby tam obroki były dla nich gotowe, a tobie eskortę własną aż do Krasnegostawu dam. Nic cię tu spotkać złego nie może, bo to kraj mój... Dam ci dobrych pachołków z niemieckiej dragonji, ludzi śmiałych i dróg świadomych... Zresztą, do Krasnegostawu trakt, jak sierpem rzucił.

— A czemu to mam się sam ostawać?

— Abyś się z nami dłużej zabawił; miłym mi jesteś gościem i radbym waćpana choćby cały rok zatrzymać. A przytem posłałem po stada do Perespy, może się jakowyś bachmacik dla waćpana wybierze, który cię w potrzebie nie zawiedzie, wierzaj!...

Kmicic spojrzał bystro w oczy staroście, potem, jakby powziąwszy nagłe postanowienie, rzekł:

— Dziękuję i ostaję, a Tatarów naprzód wyprawię.

I poszedł zaraz wydać im rozkazy, a wziąwszy na stronę Akbaha-Ułana, tak mówił:

— Akbaliu-Ułanie. Macie iść naprzód do Krasnegostawu, prostym traktem, jakoby kto

sierpem rzucił. Ja tu ostaję i w dzień po was ruszę, mając starościńską eskortę. Słuchajże teraz, co ci powiem: oto mi do Krasnegostawu nie pójdziecie, jeno mi w pierwszych lasach niedaleko za Zamościem przypadnij, tak, aby żywa dusza o was nie wiedziała; a gdy wystrzał na gościńcu usłyszycie, to do mnie, bo mi tu chcą jakowąś nieszczerość wyrządzić.

— Twoja wola! — odrzekł Akbah-Ułan, przykładając dłoń do czoła, ust i piersi.

— Przejrzałem cię, panie starosto! — rzekł do siebie Kmicic. — W Zamościu siostry się boisz, więc clicesz dziewczynę porwać i gdzieś w pobliżu osadzić, a ze mnie instrumentum [1] swych żądz uczynić, a kto wie, czy i gardła nie wziąć. Czekajże! Trafiłeś na lepszego od się... I sam się we własny potrzask uchwycisz!

Wieczorem porucznik Szurski zastukał do drzwi Kmicica. Oficer także coś wiedział, czegoś się domyślał, a że Anusię miłował, wołał więc, by odjechała, niż żeby w moc pana starosty wpadła. Jednakże mówić otwarcie nie śmiał, a może także nie miał pewności; dziwił się więc tylko, iż Kmicic zgodził się na wysłanie przodem Tatarów; zaręczał, że drogi nie są tak bezpieczne, jako mówią, że wszędy włóczą się kupy zbrojne i do gwałtownych uczynków skore.

---

[1] narzędzie.

Lecz pan Andrzej postanowił udawać, że niczego się nie domyśla.

— Co mnie może spotkać? — mówił — przecie pan starosta kałuski daje mi własną eskortę!

— Ba! Niemców!

— Zali to niepewni ludzie?

— Tym psubratom nigdy ufać nie można. Bywało, że zmówiwszy się w drodze, do nieprzyjaciół zbiegali...

— Szwedów przecie niema z tej strony Wisły.

— Są psiajuchy w Lublinie! Nieprawda, że wyszli. Szczerze waszmości radzę, nie wyprawiaj naprzód Tatarów, bo w większej kupie zawsze bezpieczniej.

— Szkoda, żeś mi waćpan wprzód tego nie mówił. Jeden mam język w gębie i raz danego rozkazu nie cofam.

Jakoż nazajutrz Tatarzy ruszyli naprzód, Kmicic miał zaś jechać pod wieczór, tak, aby na pierwszy nocleg stanąć w Krasnymstawie. Tymczasem wręczono mu dwa listy do pana Sapiehy: jeden od księżnej, drugi od pana starosty.

Kmicic miał wielką ochotę otworzyć ten ostatni, jednak nie śmiał, natomiast przejrzawszy go pod światło, przekonał się, że w środku jest czysty papier. Odkrycie to upewniło go ostatecznie, że i dziewczyna i listy mają mu być w drodze odebrane.

Tymczasem przyszło stado z Perespy i pan starosta obdarzył młodego rycerza nad podziw pięknym baclimacikiem, którego on z wdzięcznością przyjął, myśląc sobie w duszy, że dalej na nim zajedzie, niż się pan starosta spodziewa. Myślał także o swoich Tatarach, którzy już musieli w lasach zapaść, i śmiech pusty go brał. Chwilami znowu burzył się w duszy i obiecywał sobie dać panu staroście dobrą naukę.

Nadszedł wreszcie czas obiadu, który upłynął bardzo posępnie. Anusia miała czerwone oczy; oficerowie milczeli głucho, jeden pan starosta był wesół i kazał dolewać w kielichy, które Kmicic spełniał jeden za drugim. Lecz gdy nadeszła pora odjazdu, niewiele osób żegnało odjeżdżających, gdyż pan starosta powyprawiał oficerów po służbie.

Anusia padła do nóg księżnie i długo nie można jej było oderwać, sama zaś księżna miałii w twarzy niepokój widoczny. Może i wyrzucała sobie pocicliu, iż pozwoliła na odjazd wiernej służki, wśród takich czasów, w których nietrudno było o przygodę. Lecz głośny płacz Michała, który, trzymając pięści przy oczach, buczał jak żak szkolny, utwierdził dumną panią w przekonaniu, iż trzeba dalszym skutkom młodocianego afektu zapobiec. Wreszcie uspokajała się i tą nadzieją, że w rodzinie sapieżyńskiej znajdzie dziewczyna opiekę, bezpieczeństwo i wreszcie ową

wielką fortunę, mającą jej los na resztę życia zabezpieczyć.

— Waścinej cnocie, męstwu i honorowi ją powierzam, — rzekła raz jeszcze księżna do Kmicica, — a waćpan pamiętaj, iżeś mi zaprzysiągł, jako ją bez szwanku do pana Sapiehy odprowadzisz.

—• Jako szkło będę wiózł, a w potrzebie pakułami[1] obwinę, żem zaś parol dał, to chyba śmierć mi go dochować przeszkodzi — odrzekł rycerz.

I podał ramię Anusi, ona zaś zła była na niego, bo wcale na nią nie patrzył i dość lekko traktował, więc podała mu rękę bardzo dumnie, odwracając wzrok i głowę w inną stronę.

Żal jej było odjeżdżać i strach ją teraz brał, ale cofać się było już za późno.

Nadeszła chwila; siedli więc, — ona do karetki ze starą sługą, panną Suwalską, on na koń, i ruszyli. Dwunastu rajtarów niemieckich otaczało kolaskę i wóz z Anusinemi łubami. Gdy wreszcie skrzypnęły brony w Warszawskiej bramie i rozległ się turkot kół po zwodzonym moście, Anusia uderzyła w płacz głośny.

Kmicic pochylił się do kolaski.

— Nie bój się waćpanna, nie zjem cię!

— Grubijan! — pomyślała Anusia.

---

[1] kłakami, wyczesanemi z lnu i konopi.

Jechali czas jakiś wedle domów leżących za murami, wprost ku Staremu Zamościu, poczerń wyjechali na pola i wjechali w bór, który w owych czasach ciągnął się pagórzystym krajem aż hen do Bugu i za Bug z jednej strony, z drugiej szedł, przerywany wsiami, aż do Zawichosta.

Noc już zapadła, ale bardzo pogodna i widna, trakt znaczył się srebrnym szlakiem; ciszę przerywał tylko turkot karetki i tętent koni rajtarskich.

— Tu już moi Tatarowie muszą tkwić w gąszczach jako wilcy — pomyślał Kmicic.

Wtem nadstawił ucha.

— Co to? — zapytał oficera, dowodzącego rajtarami.

— Słychać tętent!... Jakiś jeździec pędzi wskok za nami! — odrzekł oficer.

Zaledwie skończył, dopadł na spienionym koniu Kozak, wołając:

— Pan Babinicz! pan Babinicz! Pyśmo od pana starosty!

Orszak wstrzymał się. Kozak podał list Kmicicowi.

Kmicic rozłamał pieczęć i przy świetle latarni, umieszczonej przy koźle kolaski, czytał, co następuje:

„Mości, a mnie wielce miły, panie Babinicz! Wprędce po odjeździe panny Borzobohatej-Krasieńskiej doszła mnie wieść, iż Szwedzi nietylko nie ustąpili z Lublina, ale na

mój Zamość uderzyć zamierzają. Wobec tego dalsza droga i peregrynacja stają się niepodobne. Zważywszy więc owe pericula, na jakie białogłowa narażonaby być mogła, chcemy pannę Borzobohatą mieć zpowrotem w Zamościu. Ciż sami rajtarowie ją odwiozą, waćpana zaś, któremu w dalszą drogę musi być pilno, napróżno fatigare nie chcemy. Którą wolę, naszą oznajmując waszej mości, prosimy, abyś rajtarom wedle naszych chęci rozkazy wydać zechciał“.

— Przecie jest w nim tyle uczciwości, że na głowę moją nie nastaje, jeno mnie na dudka chce wystrychnąć — pomyślał Kmicic. — Wraz się też okaże jawnie, czy jest w tem zasadzka, czyli jej niema.

Tymczasem Anusia wysadziła głowę, przez okno.

— A co tam? — spytała.

— Nic! Pan starosta kałuski jeszcze raz waćpannę mojemu męstwu poleca. Nic więcej.

Tu zwrócił się do woźnicy i rajtarów:

— Jazda!

Lecz oficer dowodzący rajtarami osadził konia.

— Stój! — krzyknął na woźnicę.

Poczern do Kmicica:

— Jakto: „jazda?“

— A poco dłużej w lesie stać? — spytał z głupia frant Kmicic.

— Bo wasza mość odebrałeś jakowyś rozkaz.

— A waści co do tego! Odebrałem i właśnie dlatego rozkazuję: jazda!

— Stój! — zawołał oficer.

— Jazda! — powtórzył Kmicic.

— Co tam? — spytała znów Anusia.

— Nie pojedziem ni kroku dalej, nim rozkazu nie obaczę! — rzekł stanowczo oficer.

— Rozkazu nie obaczysz, bo nie tobie go przysłano!

— Skoro waszmość słuchać go nie chcesz, to ja go wykonam... Ruszajże sobie tedy waszmość z Bogiem do Krasnegostawu, i bacz, abyśmy czego nie przyłożyli na drogę, a my z panną wracamy.

Pan Kmicic tego tylko chciał, aby oficer wyznał, iż wie, co jest w rozkazie; okazało się bowiem z tego z zupełną pewnością, że cała sprawa jest zgóry ułożonym podstępem.

— Ruszaj z Bogiem! — powtórzył groźnie już oficer.

I w tej chwili rajtarzy powydobywali bez komendy szable z pochew.

— O takie syny! nie do Zamościa chcielibyście dziewkę wieźć, jeno gdzieś na uboczu osadzić, aby pan starosta swobodnie żądzom swym cugle mógł popuszczać... Aleście na mądrzejszego trafili!

To rzekłszy, wypalił w górę z pistoletu.

Na ów odgłos w głębiach lasu rozległ się wrzask straszliwy, jakgdyby wystrzał zbudził całe stada wilków, śpiące w pobliżu. Wycie

ozwało się zprzodu, ztyłu, z boków, jednocześnie rozległ się tętent koni, chrupot gałęzi łamanych pod kopytami, i na trakcie zaczerniały kupy jeźdźców, które się zbliżały z nieludzkiem wyciem i piskiem.

— Jezus! Marja! Józef! — wołały przerażone niewiasty w kolasce.

Tymczasem Tatarzy dopadli chmurą, lecz Kmicic wstrzymał ich trzykrotnym okrzykiem, sam zaś zwrócił się do przerażonego oficera i chełpić się począł:

— Poznaj, na kogoś trafił... Pan starosta na dudka chciał mnie wystrychnąć, ślepe instrumentum [1] ze mnie uczynić... A tobie rajfurską [2] funkcję powierzył, której się dla łaski pańskiej podjąłeś, panie oficyjerze! Kłaniajże się od Babinicza panu staroście i powiedz mu, że dziewka dojedzie bezpiecznie do pana Sapiehy!

Oficer potoczył naokoło przelękłym wzrokiem i ujrzał dzikie twarze, patrzące ze straszliwem łakomstwem na niego i na rajtarów. Znać było, że czekają tylko jednego wyrazu, ażeby rzucić się na nich i porozrywać w sztuki.

— Wasza miłość uczyni, co zechce, bo z przemocą nie wskóramy, — odrzekł drżącym głosem, — ale pan starosta potrafi się pomścić.

---

[1] narzędzie. [2] stręczycielską.

Kmicic rozśmiał się.

— Niechże na tobie się mści, bo gdyby nie to, żeś się zdradził, gdybyś nie okazał, że wiesz zgóry, co jest w rozkazie, i nie przeciwił się dalszej jeździe, tobyś mnie nie przekonał o zasadzce i dziewkę zarazbym w Krasnostawie oddał. Powiedzże i to panu staroście, by mądrzejszych od cię rajfurami swymi kreował.

Spokojny ton, z jakim pan Kmicic to mówił, upewnił nieco oficera, przynajmniej pod tym względem, iż ani jemu, ani rajtarom śmierć nie grozi, więc odetchnął lżej i rzekł:

—■ Mamyż z niczem wracać do Zamościa?

A Kmicic:

—■ Z niczem nie wrócicie, ho wrócicie z pismem mojem, które każdemu z was na skórze każę wypisać.

— Wasza miłość...

— Bierz ich! -— krzyknął Kmicic.

I sam zaraz ucapił za kark oficera.

Rozpoczęła się zawierucha i kotłowanina naokół kolaski. Wrzask Tatarów stłumił wołanie o pomoc i krzyki przerażenia, wydobywające się z piersi niewiast.

Lecz szamotanie niedługo trwało, gdyż w dwa pacierze później rajtarowie leżeli już na trakcie powiązani jeden obok drugiego.

Teraz Kmicic rozkazał siec ich batożkami z byczego surowca, lecz nie nad miarę, ażeby wrócić mogli piechotą do Zamościa. Otrzymali

więc prości żołnierze po sto, a oficer sto pięćdziesiąt plag i, pomimo próśb i zaklęć Anusi, która nie rozumiejąc, co się wokoło niej dzieje, sądziła, że w straszliwe jakieś ręce wpadła, i składając dłonie, błagała ze łzami w oczach o życie.

— Daruj, rycerzu!... Coin ja ci winna?... Daruj! oszczędź!...

— Cicho panna bądź! — huknął Kmicic.

— Com ci zawiniła?

— Możeś i sama w zmowie!...

-— W jakiej zmowie? Boże bądź miłościw mnie grzesznej!...

— To waćpanna nie wiesz, że pan starosta pozornie jeno na wyjazd waćpanny dozwolił, aby cię od księżnej odłączyć, a w drodze porwać, i aby w jakimś pustym zameczku na cnotę twoją nastawać?

— Jezusie Nazareński!—krzyknęła Anusia.

I tyle było w tym okrzyku prawdy i szczerości, iż Kmicic rzekł łagodniej:

— Jakże? Toś waćpanna nie w zmowie?... Może to być!

Anusia zakryła twarz rękoma, lecz nie mogła nic mówić, jeno powtarzała raz po razu:

—■ Jezus, Marjo! Jezus, Marjo!

—- Uspokój się panna — rzekł jeszcze łagodniej pan Kmicic. — Pojedziesz bezpiecznie do pana Sapiehy, bo tego pan starosta nie

---

[1] uderzeń.

wyliczył, z kim ma sprawę... Ot, ci ludzie, których tam sieką, mieli cię porwać... Daruję ich zdrowiem, aby mogli panu staroście opowiedzieć, jak im gładko poszło.

— To waćpan mnie od hańby obronił?

— Tak jest! chociażem nie wiedział, czy rada będziesz.

Anusia zamiast odpowiadać lub zaprzeczać, chwyciła nagle pana Andrzeja za rękę i przycisnęła ją do swych bledziuchnych ust.

A po nim skry przeszły od nóg do głowy.

— Daj panna spokój, dla Boga! co to znowu!... — krzyknął. — Siadaj panna do kolaski, bo nożyny przemoczysz... A nie bój się!... U matki nie byłoby ci przezpieczniej...

— Pojadę teraz z waćpanem chociażby na koniec świata!

— Waćpanna takich rzeczy nie powiadaj!

— Bóg cię nagrodzi, żeś cnoty bronił!

— Pierwszy raz mi się sposobność trafiła — odrzekł Kmicic.

A ciszej mruknął sam do siebie:

— Tylem jej dotąd bronił, ile kot napłakał!

Lecz tymczasem ordyńcy przestali batożyć rajtarów, kazał ich więc pan Andrzej pognać nagich i pokrwawionych traktem do Zamościa. Poszli, łzy rzewne wylewając. Konie, broń i odzież darował Kmicic swoim Tatarom, i ruszyli szybko naprzód, bo niebezpiecznie było zwłóczyć.

Przez drogę nie mógł się młody rycerz po-

wstrzymać od chęci zaglądania do kolaski, a raczej od spoglądania w bystre oczki i cudne lica dziewczyny. Pytał też za każdym razem, czy jej czego nie trzeba, czy kolaska wygodna i czy zbyt szybka jazda nie nuży.

Ona odpowiadała mu zatem wdzięcznie, że jej tak dobrze, jako nigdy nie bywało. Ochłonęła już ze strachu zupełnie. Serce wezbrało jej ufnością dla obrońcy. W duszy zaś myślała:

— Nie tak nieużyty, ani taki grubijan, jakom z początku mniemała!

— Ej, Oleńka, co ja dla ciebie cierpię! — mówił sobie Kmicic; — zali mnie niewdzięcznością nakarmisz?... Żeby tak w dawnych czasach... uha!...

Tu kompanjonowie przyszli mu na myśl i różne swawole, których się na spółkę z nimi dopuszczał, więc chcąc odegnać pokusy, począł za ich nieszczęsne dusze odmawiać: „wieczny odpoczynek“.

Przybywszy do Krasnegostawu, uznał pan Kmicic, że lepiej na wieści z Zamościa nie czekać, i zaraz ruszył w dalszą drogę. Wszelako na odjezdnem napisał i przesłał panu staroście list następujący:

„Jaśnie Wielmożny Panie Starosto,
a mnie wielce miłościwy Łaskawco
i Dobrodzieju!

„Kogo Bóg wielkim na tym świecie uczynił, temu i dowcipu sporszą miarą namierzył. Po-

znałem to odrazu, iżeś J. W. Pan jeno na próbę chciał mnie wystawić, przesyłając mi rozkaz wydania panny Borzobohatej-Krasieńskiej, a poznałem to tem lepiej, gdy rajtarowie owi zdradzili, iż tenor rozkazu wiedzą, chociażem im listu nie pokazywał i choć J. W. Pan piszesz mi, iż namysł dopiero po naszym wyjeździe przyszedł. Jako więc z jednej strony podziwiam tem bardziej przezorność pańską, tak z drugiej, dla zupełnego uspokojenia troskliwego opiekuna, ponownie przyrzekam, iż nic mnie od spełnienia powierzonej mi funkcji odwieść nie zdoła. Ale że żołdakowie owi, źle widocznie intencję pańską rozumiejąc, wielkimi grubijanami się okazali, a nawet zdrowiu memu grozili, mniemam przeto, iż utrafiłbym w myśl J. W. Pana, gdybym ich był obwiesić kazał. Czego żem nie uczynił, o przebaczenie J. W. Pana upraszam; wszelako batożkami kazałem ich przystojnie ociąć, którą karę, jeśli J. W. Pan za zbyt małą uznasz, wedle swej pańskiej woli multyplikować [1] możesz. Przyczem tusząc, iżem na większą ufność i wdzięczność J. W. Pana zarobił, piszę się wiernym i życzliwym W. pańskiej mości sługą. — Babinicz“.

Dragoni, dowlókłszy się do Zamościa późną nocą, nie śmieli się na oczy panu staroście kałuskiemu pokazać, dowiedział się więc o ca-

[1] pomnożyć.

łem zajściu dopiero z tego listu, który nazajutrz krasnostawski kozak przywiózł.

Przeczytawszy go pan starosta, na trzy dni w swojej komnacie się zamknął, nikogo z dworzan, prócz pokojowców, którzy mu jeść nosili, do siebie nie puszczając. Słyszano też, iż klął po francusku, co czynił tylko wówczas, gdy był w najwyższej pasji.

Powoli jednak uspokoiła się ta burza. Przez czwarty i piąty dzień bardzo był jeszcze pan starosta milczący; żuł coś w sobie i za wąs szarpał; aż dopiero w tydzień, będąc już wcale wesołym i podpiwszy trochę przy stole, począł nagle wąs kręcić, nie szarpać, i ozwał się do księżnej Gryzeldy:

— Pani siostro, wiesz, że mi nie brak przezorności... Wystawiłem też umyślnie parę dni temu na próbę owego szlachcica, który Anusię zabrał, i mogę cię upewnić, że ją wiernie do rąk pana sapieżyńskich dowiezie.

I zdaje się, że już w miesiąc później, zwrócił pan starosta serce gdzie indziej, a prócz tego był całkiem i sam przekonany, że co się stało, stało się z jego wolą i wiedzą.

ROZDZIAŁ IX.

Województwo lubelskie w znacznej części, a podlaskie niemal zupełnie, było w ręku polskich, to jest konfederacji i sapieżyńskich.

Ponieważ król szwedzki bawił ciągle w Prusach, gdzie z elektorem traktował, Szwedzi więc, nie czując się bardzo na siłach, wobec ogólnego powstania, które wzmagało się z każdą chwilą, nie śmieli się wychylać z miast i zamków, a mniej jeszcze przechodzić Wisłę, poza którą siły polskie były największe. Pracowano więc w owych dwóch województwach nad utworzeniem znacznego i porządnego wojska, któreby się z regularnym szwedzkim żołnierzem mierzyć mogło. Po miastach powiatowych ćwiczono piechotę, a ponieważ chłopi wogóle chwycili za broń, zatem i ludzi nie brakło, trzeba było tylko ująć w kluby i w regularną komendę owe kupy niesforne, często dla własnego kraju niebezpieczne.

^ajmowali się tern rotmistrze powiatowi. Obok tego król wydał minóstwo listów zapowiednich starym i doświadczonym żołnierzom, zaciągi szły więc we wszystkich ziemiach, a że ludzi wojennych w tych stronach nie brakło, tworzyły się więc chorągwie jazdy bardzo doskonałej. Jedne szły za Wisłę, podsycać wojnę z tamtej strony, drugie do pana Czarnieckiego, trzecie do pana Sapiehy. Takie mnóstwo rąk schwyciło za broń, że wojsko Jana Kazimierza już było od szwedzkiego liczniejsze.

Kraj, nad którego słabością zdumiewała się niedawno cała Europa, dawał teraz przykład siły, której nie domyślali się w nim nietylko nieprzyjaciele, ale nawet własny król, naw;et

ci, których wierne serce rozdzierało się przed kilku miesiącami z bólu i desperacji. Znajdowały się pieniądze, zapał, męstwo; najbardziej zrozpaczone dusze ogarniało przekonanie, iż niemasz takiego położenia, takiego upadku, takiej słabości, z którejby nie było ratunku, i że tam, gdzie się dzieci rodzą, tam otucha umrzeć nie może.

Kmicic szedł naprzód bez przeszkód, zbierając po drodze niespokojne duchy, które chętnie przystawały do czambułku, w tej nadziei, że na współkę z Tatary najwięcej zażyją krwi i grabieży. Tych w rządnych i sprawnych żołnierzy łatwo zmieniał, bo miał ten dar, iż strach a posłuch budził w podwładnych. Witano go po drodze radośnie, a to z powodu Tatarów. Widok ich bowiem przekonywał, iż chan naprawdę Rzeczypospolitej idzie z pomocą. Oczywiście gruchnęła wieść, że panu Sapieże walą auxilia, złożone z czterdziestu tysięcy wyborowego tatarskiego komuniku. Rozpowiadano cuda o „modestji“ tych sprzymierzeńców, jako żadnych gwałtów ni zabójstw po drodze nie czynią. Podawano ich własnym żołnierzom za przykład.

Pan Sapieha stał chwilowo w Białej. Siły jego składały się z około dziesięciu tysięcy wojsk regularnych, jazdy i piechoty. Były to szczątki wojsk litewskich, podsycone nowym ludem. Jazda, zwłaszcza niektóre jej chorągwie, przewyższała dzielnością i sprawnością

szwedzką rajtarję, lecz piechota źle była wyćwiczona i brakło jej strzelby, a zwłaszcza prochów. Brakło także armat. Myślał wojewoda witebski, że się zaopatrzy w nie w Tykocinie, tymczasem Szwedzi, wysadziwszy siebie samych prochami, zniszczyli zarazem wszystkie działa zamkowe.

Obok tych sił stało w okolicy Białej do dwunastu tysięcy pospolitaków z całej Litwy, z Mazowsza, z Podlasia, lecz z tych niewiele obiecywał sobie wojewoda pożytku, zwłaszcza, że niezmierną moc wozów ze sobą mając, utrudniali pochody i czynili z obozu ociężałe i nieruchome zbiorowisko.

Kmicic o jednem myślał, wjeżdżając do Białej. Oto pod Sapiehą służyło tylu szlachty z Litwy i tylu oficerów radziwiłłowskich, dawnych jego znajomych, iż obawiał się, że go poznają, a poznawszy, na szablach rozniosą, zanim zdoła krzyknąć: „Jezus, Marja!“ Imię jego było znienawidzone w całej Litwie i w sapieżyńskim obozie, bo świeża jeszcze była pamięć, jako, służąc Radziwiłłowi, wycinał te chorągwie, które się przeciw hetmanowi za ojczyzną opowiedziały.

Lecz dodało panu Andrzejowi to otuchy, że się zmienił bardzo. Bo naprzód wychudł, po wtóre przybyła mu przez twarz blizna od Bogusławowe j kuli; nakoniec nosił teraz brodę, dość długą, na końcu w szwedzki wicher zakręconą, a że wąsy podczesywał do góry, był

więc wiele podobniejszy do jakiegoś Eriksona i, niż do polskiego szlachcica.

— Byle się odrazu tumult przeciwko mnie nie uczynił, to po pierwszej bitwie już mnie inaczej będą sądzili — myślał sobie Kmicic, wjeżdżając do Białej.

Wjeżdżał też mrokiem, oznajmił się, skąd jest, że listy królewskie wiezie — i zaraz prosił pana wojewodę o osobną audjencję.

Wojewoda przyjął go łaskawie, a to z powodu gorących poleceń królewskich.

„Posyłamy wam najwierniejszego sługę naszego, — pisał król, — który Hektorem częstochowskim, od czasu oblężenia sławnego miejsca, jest nazwany, naszą zaś wolność i nasze zdrowie własnem życiem w czasie przeprawy przez góry ratował. Tego w szczególniejszej opiece miejcie, aby mu krzywda od żołnierzy się nie stała. Nazwisko jego prawdziwe wiemy, oraz i racje, dla których pod przybranem służy, z powodu którego przybrania nikt nie ma go w podejrzenia podawać, ani o praktyki posądzać“.

— Dlaczego waść przybrane nazwisko nosisz, nie można wiedzieć? — pytał pan wojewoda.

— Bom jest banit i pod własnem nie mógłbym zaciągać... Król dał mi zaś listy zapowiednie i jako Babinicz zaciągać mogę.

---

[1] ogólnie: Szweda.

— Poco ci zaciągi, skoro masz Tatarów?

— By i największa siła nie zawadzi.

— A za co banit?

— Pod czyją komendę idę i kogo o opiekę proszę, temu wszystko, jako ojcu, wyznać winienem. Prawdziwe moje nazwisko jest: Kmicic!

Wojewoda cofnął się o parę kroków.

— Który króla i pana naszego porwać żywym lub umarłym Bogusławowi obiecywał?

Kmicic opowiedział z całą swą energją, jak i co się zdarzyło, jako Radziwiłłom otumaniony służył, jako usłyszawszy z ust Bogusława o istotnych książąt zamiarach, porwał go, i z tego powodu nieubłaganą zemstę na się ściągnął.

Wojewoda uwierzył, bo nie mógł nie uwierzyć, zwłaszcza, gdy i królewskie listy prawdę słów Kmicicowych potwierdzały. Wreszcie w wojewodzie dusza była tak rozradowana, iż największego swego wroga byłby w tej chwili do serca przycisnął, największy grzech odpuścił. Radość tę sprawił mu następujący ustęp królewskiego listu:

„Jakkolwiek wakująca [1] po śmierci wojewody wileńskiego wielka buława litewska wedle zwykłego prawa, tylko na sejmie może być następcy oddana, przecie w ekstraordynaryjnych [2] dzisiejszych okolicznościach, niechając

[1] osierocona. [2] nadzwyczajnych.

pospolitego trybu [1], Wam, wielce nam miłym, dla dobra Rzeczypospolitej i waszych wiekopomnych zasług, buławę ona oddajemy, słusznie mniemając, że, da Bóg uspokojenie, na przyszłym sejmie żaden głos przeciwko tej woli naszej się nie podniesie i uczynek nasz ogólną aprobatę otrzyma“.

Sapieha, jak mówiono wówczas w Rzeczypospolitej, „zastawił kontusz i sprzedał ostatnią srebrną łyżkę“, — nie służył więc dla korzyści, ani dla honorów ojczyźnie. Lecz nawet najbezinteresowniejszy człowiek rad widzi, iż zasługi jego cenią, wdzięcznością płacą, cnotę uznają. Dlatego od poważnej jego twarzy blask bił niezwykły.

Akt ten woli królewskiej nowym splendorem przyozdabiał ród sapieżyński, a na to żadne z ówczesnych „królewiąt“ nie było obojętne; dobrze, jeśli byli tacy, którzy do wyniesienia per nefas [2] nie dążyli. Więc też pan Sapieha gotów był teraz uczynić dla króla wszystko, co było i co nie było w jego mocy.

— Skorom jest hetmanem, — rzekł do pana Kmicica, — to pod moją inkwizycję podchodzisz i opiekę znajdziesz. Siła tu jest pospolitego ruszenia, więc i tumult gotowy, dlatego bardzo w oczy nie leź, póki ja żołnierzów nie ostrzegę i tej potwarzy z ciebie nie zdejmę, którą Bogusław rzucił.

---

[1] nie trzymając się zwyczajnego sposobu postępowania. [2] nieuczciwą drogą.

Kmicic podziękował z serca i zkolei począł mówić o Anusi, którą ze sobą do Białej przywiózł. Na to pan hetman nuż zrzędzić, ale że w humorze był wyśmienitym, więc i zrzędził wesoło.

— Owarjował Sobiepan! jak mi Bóg miły! — rzeki. — Siedzą sobie tam z siostrą za zamojskiemi murami, jak u Pana Boga za piecem, i myślą, że każdy może, tak jak on, poły od kontusza rozgartywać, do komina się obracać i plecy grzać. Ja Podbipiętów znałem, bo to krewni Brzostowskich, a Brzostowscy moi. Fortuna pańska, niema co mówić, ale chociaż wojna z Septentrjonami na czas omdlała, przecie w tamtych stronach jeszcze stoją... Gdzie czego szukać? gdzie jakie sądy, jakie urzędy? Kto będzie fortunę odbierał i dziewkę instalował? Powarjowali na czysto! Mnie Bogusław na karku siedzi, a ja mam wojskiego funkcję pełnić i babami sobie głowę zaprzątać...

— Nie baba to, ale wiśnia — odrzekł Kmicic. — A co mi tam!... Kazali wieźć, wiozłem; kazali oddać, oddaję!

Stary hetman wziął na to pana Kmicica za ucho i rzekł:

— A kto cię tam wie, zbereźniku, jakąś ty ją odwiózł... Broń czego Boże, jeszcze będą ludzie gadali, że ją od sapieżyńskiej opieki kolki sparły, i ja stary będę oczyma świecił... Cóżeście to na popasach czynili? Gadaj mi

jeno zaraz, poganinie, zaliś od swoich Tatarów bisurmańskich obyczajów nie przejął?

— Na popasach... — odrzekł wesoło Kmicic — na popasach kazałem sobie pachołkom skórę dyscyplinami orać, a to, żeby mniej przystojne chęci wygnać, które pod skórę mają swoje siedlisko, a które, confiteor, nakształt bąków mnie cięły.

—- A widzisz... Godnaż to jaka dziewka?

— At, koza! choć okrutnie gładka, a jeszcze więcej przylepna.

— Już bisurmanin się znalazł!

— Ale cnotliwa jako mniszka, to jej muszę przyznać. Ale co do kolek, mniemam, żeby ją prędzej od pana zamojskiej opieki sparły.

Tu Kmicic opowiedział, jak i co było. Dopieroż hetman począł go klepać po ramieniu, a śmiać się.

—■ No, ćwik z ciebie! Niedarmoż tyle o Kmicicu powiadają. Nie bój się! Pan Jan człek nie zawzięty i mój konfident. Przejdzie mu pierwsza pasja, to się jeszcze sam uśmieje i ciebie nagrodzi.

— A nie potrzebuję! — przerwał Kmicic.

— Dobrze i to, że ambicję masz i ludziom w ręce nie patrzysz. Usłuż mi jeno przeciw Bogusławowi tak sprawnie, to o dawne kondemnaty nie będziesz się potrzebował bać.

Tu zdziwił się Sapieha, spojrzawszy na tę

twarz żołnierską, przed chwilą jeszcze tak szczerą i wesołą. Kmicic na wzmiankę o Bogusławie przybladł zaraz i twarz mu się skurczyła, jak paszcza złemu psu, gdy chce kąsać.

— Bogdaj się własną śliną ten zdrajca otruł, byle mi jeszcze przed skonaniem w ręce wpadł! — rzekł ponuro.

— Twej zawziętości się nie dziwię... Pamiętaj tylko, by gniew w tobie roztropności nie zadławił, bo nie z byle kim to sprawa. Dobrze, że cię król tu przysłał. Będziesz mi Bogusława podchodził, jako dawniej Chowańskiego.

•— Będę go lepiej podchodził! — odparł równie ponuro Kmicic. t

Na tem skończyła się rozmowa. Kmicic odjechał spać do. kwatery, bo był strudzony drogą.

Tymczasem rozbiegła się wieść pomiędzy wojskiem, że król wielką buławę ukochanemu wodzowi przysłał. Radość tedy jak płomień wybuchnęła pomiędzy tysiącami ludzi.

Towarzystwo i oficerowie z pod różnych chorągwi poczęli tłumnie nadbiegać do kwatery hetmańskiej. Uśpione miasto ocknęło się ze snu. Porozpalano ognie. Chorążowie nadbiegli z chorągwiami. Zagrały trąby, zahuczały kotły, zagrzmiały wystrzały z dział i muszkietów, a pan Sapieha ucztę wspaniałą wyprawił i przewiwatowano noc całą, pijąc za

zdrowie królewskie, hetmańskie i na przyszłe zwycięstwo nad Bogusławem.

Pan Andrzej nie był, jako się rzekło, na uczcie obecny.

Natomiast pan hetman wszczął przy stołach rozmowę o Bogusławie, i nie powiadając, kto jest ów oficer, który z Tatarami przyjechał i buławę przywiózł, mówił ogólnie o przewrotności księcia.

— Obaj Radziwiłłowie — rzekł — kochali się w praktykach, ale książę Bogusław jeszcze nieboszczyka stryjecznego przewyższył... Pamiętacie waszmościowie Kmicica, albo przynajmniej słyszeliście o nim. Otóż imainujcież sobie, iż to, co książę Bogusław rozpuścił: jakoby mu się Kmicic ofiarował rękę na króla i pana naszego podnieść, — to nieprawda!

— Januszowi jednakże Kmicic pomagał dobrych kawalerów wycinać.

— Tak jest, Januszowi pomagał, ale wreszcie i on się spostrzegł, a spostrzegłszy się, nietylko służbę porzucił, ale, jak to wiecie, że człek był zuchwały, jeszcze się na Bogusława porwał. Podobno tam już ciasno było z młodym księciem i ledwie zdrowie z rąk Kmicicowych salwował.

— Kmicic był żołnierz wielki! — odezwały się liczne głosy.

— Książę zaś przez zemstę taką na niego potwarz wymyślił, od której dusza się wzdryga.

— Djabełby lepszej nie wymyślił!

— Wiedzcie, że dowody mam w ręku, czarno na białem, iż to była zemsta za nawrócenie się Kmicicowe.

— Tak czyje imię pohańbić!... Jeden Bogusław to potrafi!

— Takiego żołnierza pogrążyć!

— Słyszałem, — mówił dalej hetman, — iż Kmicic, widząc, że nic mu tu już do roboty nie pozostaje, do Częstochowy umknął i tam znaczne usługi oddał, a potem króla jegomości własną piersią osłaniał.

Usłyszawszy to, ci sami żołnierze, którzyby byli przed chwilą na szablach Kmicica roznieśli, poczęli coraz życzliwiej się o nim odzywać.

— Kmicic mu tego nie daruje, nie taki to człowiek, on się i na Radziwiłła porwie!

— Wszystkich żołnierzów książę koniuszy pohańbił, rzuciwszy na jednego taką hańbę!

— Kmicic swawolnik był i okrutnik, ale nie parrycyda!

— Pomści on się, pomści!

— My go pierwej pomścimy!

— Skoro jaśnie wielmożny hetman powagą swą za niego ręczy, to tak musiało być.

— Tak było! — r-zekł hetman.

— Zdrowie hetmańskie!

I niewiele brakło, by i Kmicicowego zdrowia nie wypito. Lecz, coprawda, odzywały się bardzo gwałtowne głosy i przeciw, zwłaszcza

między dawnymi oficerami radziwiłłowskimi. Słysząc je hetman, rzekł:

— A wiecie waszmościowie, skąd mi ów Kmicic do głowy przyszedł? Oto Babinicz, goniec królewski, wielce jest do niego podobny. Sam się w pierwszej chwili omyliłem.

Tu pan Sapieha począł surowiej nieco spoglądać i mówić z większą powagą:

— Choćby tu sam Kmicic przyjechał, to ponieważ się nawrócił, ponieważ świętego miejsca z niezmierną odwagą bronił, potrafiłbym go moją hetmańską powagą osłonić; proszę zatem waszmościów, by mi tu żadne hałasy z przyczyny owego przybysza nie powstały. Proszę pamiętać, że on tu z ramienia króla i chanowego przyjechał. A zwłaszcza polecam to ichmościom panom rotmistrzom z pospolitego ruszenia, bo tam o dyscyplinę trudniej !

Gdy pan Sapieha mówił w ten sposób, jeden pan Zagłoba ośmielał się, bywało, pomrukiwać pod nosem, wszyscy inni siedzieli jak trusie. Tak też siedzieli i teraz, ale gdy twarz hetmańska poweselała znowu, rozradowały się i inne. Kielichy gęsto krążące dopełniały miary wesołości, i całe miasto grzmiało do rana, aż ściany domostw dygotały w posadach, a dym wystrzałów wiwatowych przysłonił je całe, jakby po bitwie.

Nazajutrz rankiem wysłał pan Sapieha Anusię do Grodna, z panem Kotczycem. W Gród-

nie, z którego Chowański był się już dawno usunął, rezydowała wojewodzińska rodzina.

Biedna Anusia, której piękny Babinicz nieco w głowie zawrócił, żegnała się z nim bardzo czule, ale on się trzymał ostro i dopiero na samem odjezdnem rzekł jej:

— Żeby nie jedno licho, które w sercu jako cierń siedzi, tobym się był pewnie w waćpannie naumor rozkochał.

Anusia pomyślała sobie, że niemasz takiej drzazgi, którejby nie można przy cierpliwości igiełką wydłubać, lecz że i bała się trochę tego Babinicza, więc nie rzekła nic — westchnęła cicho i odjechała.

ROZDZIAŁ X.

Tydzień jeszcze po odjeździe Anusi z Kotczycem stał obóz sapieżyński w Białej. Kmicic z Tatary, odkomenderowany do pobliskiego Rokitna, odpoczywał także, bo trzeba było konie odpaść po długiej podróży. Przyjechał też do Białej i dziedzic jej, książę krajczy, Michał Kazimierz Radziwiłł, pan potężny, z linji nieświeskiej, o której mówiono, że po samych Kiszkach odziedziczyła siedemdziesiąt miast i czterysta wsi. Ten w niczem nie był do swoich birżańskich krewniaków podobny. Nie mniej może od nich ambitny, lecz różny wiarą, gorliwy patrjota i stronnik prą-

wego króla, całą duszą przystał do konfederacji tyszowieckiej i jak mógł ją podsycał. Olbrzymie jego posiadłości były wprawdzie silnie przez ostatnią z hiperborejczykami wojnę zniszczone, lecz zawsze stał jeszcze na czele sił znacznych i niemałą hetmanowi przywiódł pomoc.

Nie tyle jednak liczba jego żołnierzy mogła na szali wojennej zaważyć, jak to, że tu Radziwiłł stawał przeciw Radziwiłłowi; w ten sposób bowiem odjęte były Bogusławowi ostatnie pozory prawości i postępki jego jawnym charakterem najazdu i zdrady okryte.

Dlatego też pan Sapieha z radością ujrzał w swym obozie księcia krajczego. Był już teraz pewny, że zwycięży Bogusława, bo i potęgą o wiele go przewyższał. Lecz, zwyczajem swym, plany obmyślał zwolna, zastanawiał się, rozważał i na narady oficerów wzywał.

Bywał na tych naradach i pan Kmicic. Tak on znienawidził imię radziwiłłowskie, że na pierwszy widok księcia zatrząsł się ze zgrozy i złości, lecz Michał umiał sobie ludzi jednać samą twarzą, na której piękność szła ze słodyczą w parze, przytem wielkie jego przymioty, ciężkie dnie, które niedawno przebył, broniąc kraju od Zołtareńki i Srebrnego, miłość prawdziwa do ojczyzny i króla, wszystko to czyniło go jednym z najzacniejszych kawalerów swego czasu. Sama obecność jego w obozie Sapiehy, współzawodnika .domu rą-

dziwiłłowskiego, świadczyła, jak dalece młode książątko umie prywatę dla rzeczy publicznej poświęcić. Kto go znał, pokochać rnusiał. Temu uczuciu, mimo pierwszego wstrętu, nie mógł się oprzeć i zapalczywy pan Andrzej.

Ostatecznie jednak skaptował sobie jego serce książę swemi radami.

Radził bowiem, żeby, czasu nie tracąc, nietylko przeciw Bogusławowi ruszać, ale w żadne układy nie wchodząc, natychmiast nań uderzyć, nie dać mu odzyskać zamków, nie dać mu odetchnienia, spoczynku, wojować jego własnym sposobem. W takiej rezolucji widział książę zwycięstwo szybkie i pewne.

— Nie może być, żeby też i Karol Gustaw się nie ruszył, musimy więc jako najprędzej ręce mieć wolne, aby Czarnieckiemu z pomocą śpieszyć.

Tego samego zdania był Kmącic, który już trzeciego dnia rnusiał walczyć z dawnemi nałogami samowoli, aby bez komendy nie pójść naprzód.

Lecz Sapieha lubił działać na pewno, bał się każdego nierozważnego kroku, więc postanowił czekać na dokładniejsze wiadomości.

I hetman miał również swoje powody. Zapowiedziana wyprawa Bogusława na Podlasie mogła być tylko podstępem i grą wojenną. Może to była wyprawa udana, przedsięwzięta na czele sił ladajakich, w tym celu, aby połączenia wojsk sapieżyńskich z koronnemi nie

dopuścić. Będzie się tedy Bogusław przed Sapiehą wymykał, nigdzie bitwy nie przyjmując, byle marudzić, a Karol Gustaw z elektorem uderzą przez ten czas na Czarnieckiego, zgniotą go przeważającą potęgą, ruszą na samego króla, i zduszą dzieło poczynającej się obrony, stworzone przez świetny przykład Częstochowy. Sapieha był nietylko wodzem, ale i statystą. Racje swoje wykładał zaś na naradach potężnie, że sam Kmicic rnusiał się na nie w duszy zgodzić. Przedewszystkiem należało wiedzieć, czego się trzymać. Gdyby się okazało, że najazd Bogusławowy jest tylko grą, to wystarczyłoby zostawić przeciw niemu kilka chorągwi, z całą zaś siłą ruszać, co pary w koniach, ku Czarnieckiemu i głównej nieprzyjacielskiej potędze. Kilka zaś lub nawet więcej chorągwi mógł śmiało pan hetman zostawić, bo nie wszystkie jego siły stały w okolicy Białej. Młody pan Krzysztof, czyli tak zwany Krzysztofek Sapieha, stał z dwoma lekkiemi chorągwiami i z regimentem piechoty w Janowie; Horotkiewicz kręcił się w pobliżu Tykocina, mając pod sobą pół regimentu dragonji bardzo ćwiczonej i do pięciuset wolentarzy, oprócz petyhorskiej chorągwi imienia samego wojewody. Prócz tego w Białymstoku stały łanowe piechoty.

Sił tych starczyłoby aż nadto do oporu Bogusławowi, jeżeli więcej nad kilkaset koni nie liczył.

Porozsyłał więc przezorny hetman gońców na wszystkie strony i czekał wiadomości.

Aż przyszły wreszcie wieści, lecz do gromów podobne — i tern podobniejsze, że przez szczególny zbieg okoliczności uderzyły wszystkie jednego wieczora.

Na zamku bialskim odbywała się właśnie narada, gdy wszedł oficer ordynansowy i oddał jakieś pismo hetmanowi.

Zaledwie wojewoda rzucił na nie okiem, gdy zalterował się na twarzy i rzekł obecnym:

— Krewniak mój zniesion doszczętu w Janowie przez samego Bogusława. Ledwie sam zdrowie wyniósł!

Nastała chwila milczenia, którą przerwał dopiero sam hetman.

— List jest pisany z Brańska, w ucieczce i konfuzji, — rzekł, — dlatego niemasz w nim ni słowa o potędze Bogusława. Myślę, że musiala być dość znaczną, skoro dwie chorągwie i regiment piechoty doszczętu, jako czytam, zostały zniesione!... Być jednak może, iż książę Bogusław zeszedł ich niespodzianie. Pewności to pismo nie daje...

— Panie hetmanie, — rzekł na to książę Michał, —■ pewien jestem, że Bogusław chce całe Podlasie zagarnąć, by je w udzielne władanie, albo w lenno przy układach dostać... Dlatego niezawodnie nadszedł z taką potęgą, jaką tylko mógł zebrać.

— Godzi się supozycje dowodami poprzeć, mości książę.

— Innych dowodów nie mam, jeno znajomość Bogusława. Nie o Szwedów, ani o Brandenburczyków mu chodzi, jeno o siebie samego... Wojownik to jest niepospolity, który dufa w swą szczęśliwą gwiazdę. Prowincję chce pozyskać, Janusza pomścić, sławą się okryć, a do tego potęgę odpowiednią mieć musi i ma. Dlatego nagle trzeba na niego nastąpić, inaczej on na nas nastąpi.

— Do wszystkiego błogosławieństwo Boże niezbędne, — rzekł Oskierka, — a błogosławieństwo przy nas!

— Jaśnie wielmożny panie hetmanie, — rzekł Kmicic. — Wieści potrzeba. Spuśćcie-że mnie ze smyczy z moimi Tatary, a ja wam wieści przywiozę.

Oskierka, który był przypuszczony do tajemnicy i wiedział kto jest Babinicz, zaraz jął zdanie jego mocno popierać:

— Boga mi! To jest arcyprzednia myśl! Takiego tam kawalera i takiego wojska trzeba. Jeżeli tylko konie wypoczęte...

Tu Oskierka przerwał, bo oficer ordynansowy znów wszedł do komnaty.

— Jaśnie wielmożny hetmanie, — rzekł, — jest dwóch żołnierzy z Horotkiewiczowej chorągwi, którzy się do osoby waszej wielmożności dobijają.

•— Bogu chwała! — rzekł pan Sapieha,

uderzywszy się rękoma po kolanach, — będą i wiadomości... Puszczaj!

Po chwili weszło dwóch petyhorców, obdartych i zabłoconych.

— Od Horotkiewicza? — spytał Sapieha.

— Tak jest.

— Gdzie on teraz?

— Zabit, — a jeżeli nie zabit, to nie wiemy, gdzie jest...

Wojewoda wstał, lecz usiadł i zaraz począł badać spokojnie:

— Gdzie chorągiew?

— Zniesiona przez księcia Bogusława.

— Siła zginęło?

— W pień nas wycięto, może kilku ostało, których w łyka, jak nas, wzięto. Są tacy, którzy mówią, że i pułkownik uszedł; ale że ranny, to samj widziałem. My z niewoli uciekli.

— Gdzie was napadnięto?

•— Pod Tykocinem.

— Czemuście się za mury nie schronili, w sile nie będąc?

— Tykocin wzięty.

Hetman przysłonił dłonią oczy, poczem jął wodzić nią po czole.

— Siła przy Bogusławie ludzi?

— Jest jazdy na cztery tysiące, prócz piechoty i armat. Piechoty bardzo moderowane. Jazda ruszyła naprzód, prowadząc nas ze sobą, aleśmy się wyrwali szczęśliwie.

— Skądeście uciekli?

— Z Drohiczyna.

Sapieha otworzył szeroko oczy.

— Mości towarzyszu, tyś pijany. Jakżeby już do Drohiczyna Bogusław mógł dojść? Kiedy was zniósł?

— Dwa tygodnie temu.

—■ I jest w Drohiczynie?

— Podjazdy jego są. On sam wtyle ostał, bo tam jakiś konwój ułapion, któren pan Kotczyc prowadził.

— Pannę Borzobohatą prowadził! — zakrzyknął pan Kmicic.

I nastało milczenie, dłuższe, niż poprzednio. Nikt nie zabierał głosu. Tak nagłe powodzenia Bogusławowe zmieszały oficerów niepomiernie. Wszyscy też myśleli w duchu, że winien tu pan hetman przez swe kunktatorstwo, lecz nikt nie śmiał odezwać się z tern głośno.

Sapieha zaś czuł, że czynił, co należało i postępował roztropnie. Więc też ochłonął pierwszy z wrażenia, wyprawił skinieniem ręki owych towarzyszów, następnie rzekł:

—■ Wszystko to są zwykłe przygody wojenne, które nie powinny nikogo konfundować. Mości panowie, nie mniemajcie, abyśmy jakowąś klęskę już ponieśli. Szkoda tamtych chorągwi, prawda... Ale stokroć większa mogłaby się stać ojczyźnie, gdyby Bogusław w dalekie województwo nas odciągnął. Idzie ku nam... Jako gościnni gospodarze wyjedziem mu naprzeciw.

Tu zwrócił się do pułkowników:

— Wedle moich rozkazów, wszyscy powinni być do wyruszenia gotowi.

— Są gotowi, — rzekł Oskierka, —- jeno konie kiełznać i wsiadanego trąbić.

— Dziś jeszcze otrąbić. Ruszamy jutro o zorzy, niemieszkając... Pan Babinicz skoczy naprzód z Tatary i języka jak najspieszniej nam ułowi.

Kmicic, ledwie usłyszał, już był za drzwiami, a w chwilę później pędził, co koń wyskoczy, ku Rokitnu.

A pan Sapieha również dłużej nie zwłóczył.

Noc jeszcze była, gdy trąby ozwały się przeciągle, poczem jazda i piechota zaczęły wysypywać się w pole; za niemi pociągnął się długi szereg wozów skrzypiących. Pierwsze blaski dzienne odbiły się w rurach muszkietów i na grotach dzid.

I szedł regiment za regimentem, chorągiew za chorągwią bardzo sprawnie. Jazda pośpiewywała godzinki, a konie parskały raźno w rannym chłodzie, z czego żołnierze zaraz wróżyli sobie pewne zwycięstwo.

Serca pełne były otuchy, bo to już wiedziało z doświadczenia rycerstwo, że pan Sapieha rozmyśla, głową kręci, na obie strony każde przedsięwzięcie waży, ale gdy zaś przed się co weźmie, to dokona, a gdy się ruszy, to bije.

W Rokitnie już i legowiska po Tatarach ostygły; poszli jeszcze wczoraj na noc i musieli być już daleko. Uderzyło to pana Sapiehę, że po drodze trudno się było o nich dopytać, chociaż oddział, liczący z wolentarzami do kilkuset ludzi, nie mógł przejść niedostrzeżony.

Oficerowie, co doświadczeósi, bardzo podziwiali ten pochód i pana Babinicza, że tak prowadzić umiał.

— Jak wilk łozami idzie, i jak wilk ukąsi— mówiono, — praktyk to jakiś zawołany!

A pan Oskierka, który, jak się rzekło, wiedział kto jest Babinicz, mówił do pana Sapiehy :

— Niedarmo Chowański cenę na jego głowę nakładał. Bóg da wiktorję, komu zechce, ale to pewna, że Bogusławowi wkrótce się wojna z nami uprzykrzy.

— Szkoda jeno, że Babinicz jakoby w wodę wpadł — odpowiadał hetman.

Istotnie, upłynęło trzy dni bez żadnej wiadomości. Główne siły sapieżyńskie doszły do Drohiczyna, przeszły Bug i nie znalazły nieprzyjaciela przed sobą. Hetman począł się niepokoić. Wedle zeznań petyhorców, podjazdy Bogusławowe doszły właśnie już do Drohiczyna, widoczne więc było, że Bogusław postanowił cofać się. Ale co znaczyło to cofanie? Czy Bogusław dowiedział się o przeważnych siłach sapieżyńskich i nie śmiał mierzyć się

z niemi, czy też pragnął hetmana odciągnąć daleko na północ, aby ułatwić królowi szwedzkiemu napad na Czarnieckiego i hetmanów koronnych? Babinicz powinien był już zachwycić języka i dać znać hetmanowi. Zeznania petyhorców co do liczby wojsk Bogusławowych mogły być błędne, należało zatem mieć jak najprędzej dokładną o niej relację.

Tymczasem upłynęło jeszcze dni pięć, a Babinicz nie dawał znać o sobie. Przychodziła wiosna. Dnie stawały się coraz cieplejsze, śniegi tajały. Okolica pokrywała się wodą, pod którą drzemały grząskie błota, utrudniające niesłychanie pochód. Większą część armat i wozów rnusiał hetman zostawić jeszcze w Drohiczynie i iść dalej komunikiem. Stąd niewygody wielkie i szemrania, zwłaszcza między pospolitem ruszeniem. W Brańsku trafiono na takie roztopy, że i piechota nie mogła postępować dalej. Hetman zgarniał konie po drodze u chłopów i drobnej szlachty, i sadzał na nie muszkietników. Innych brała lekka jazda; lecz już za daleko się posunięto i hetman rozumiał, że jedno tylko pozostaje, to jest: iść jak najprędzej.

Bogusław cofał się ciągle. Po drodze trafiano ustawicznie na jego ślady, na spalone gdzieniegdzie wsie, na trupy ludzkie wiszące po drzewach. Szlachta drobna, miejscowa, przyjeżdżała z wiadomościami co chwila do

sapieżyńskiego obozu, lecz prawda ginęła, jako zwykle, w sprzecznych zeznaniach. Ten widział jedną chorągiew i bożył się[1], że książę nie ma więcej wojska; ten widział dwie, ów trzy, ów potęgę, która w pochodzie milę zajmowała. Słowem, były to bajki, jakie zwykle opowiadają ludzie, nie znający się na wojsku i wojennem rzemiośle.

Widziano też tu i owdzie Tatarów, lecz właśnie wieści o nich wydawały się najnieprawdopodobniejsze; opowiadano bowiem, że ich widziano nie za wojskiem, ale przed wojskiem książęcem, idących naprzód. Pan Sapieha sapał gniewnie, gdy kto przy nim Babinicza wspominał, i mówił do Oskierki:

— Przechwaliliście go. W złą godzinę odesłałem Wołodyjowskiego, bo gdyby on tu był, dawnobym miał tyle języków, ilebym sam zechciał, a to jest wicher, albo i gorzej... Kto go wie, może i naprawdę do Bogusława przystał i w przedniej straży idzie!

Oskierka sam nie wiedział, co sądzić. Tymczasem upłynął znów tydzień: wojsko przyszło do Białegostoku.

Było to w południe.

W dwie godziny później przednie straże dały znać, że jakowyś oddział się zbliża.

— Może Babinicz!—zakrzyknął hetman.— Damże mu pater noster![2]

---

[1] przysięgał na Boga. [2] tu: burę.

Lecz nie był to sam Babinicz. W obozie jednak powstał taki ruch za przybyciem owego oddziału, że pan Sapieha wyszedł obaczyć, co się dzieje.

Tymczasem towarzysze z pod różnych chorągwi nadlatywali, krzycząc:

— Od Babinicza! Jeńcy! Cała kupa!... Siła ludzi naszarpał!

Jakoż ujrzał pan hetman kilkudziesięciu ludzi na wychudłych i poszerszeniałycli koniach. Otaczali oni blisko trzystu ludzi ze skrępowanemi rękoma, bijąc ich batogami z surowca. Jeńcy straszliwy przedstawiali widok. Były to raczej cienie ludzkie, niż ludzie. Odarci, półnadzy, wychudzeni tak, że kości sterczały im przez skórę, pokrwawieni, szli nawpół żywi, obojętni na wszystko, nawet na świst surowca, który przecinał im skóry, i na dzikie wrzaski tatarskie.

— Co to za ludzie? — spytał hetman.

— Wojsko Bogusławowe! — odrzekł jeden z Kmicicowych wolentarzy, który jeńców wraz z Tatarami odprowadzał.

— A wyście ich skąd tylu nabrali?

— Blisko połowa jeszcze nam w drodze od fatygi padła.

Wtem zbliżył się starszy Tatar, jakoby wachmistrz ordyński, i uderzywszy czołem, oddał panu Sapieże pismo Kmicicowe.

Hetman, nie czekając, złamał pieczęć i począł czytać głośno:

„Jaśnie wielmożny panie hetmanie!

Iżem wieści ni języków dotąd nie przysyłał, to dlatego, żem w przodku, nie po zadzie wojsk księcia Bogusławowych szedł i chciałem się większą kupą przysłużyć...“

Hetman przerwał czytanie.

— To djabeł! — rzekł — zamiast iść za księciem, to on przed księcia się wysforował!

— Niechże go kule biją!... — dodał półgłosem Oskierka.

Hetman czytał:

„Bo chociaż niebezpieczna to była impreza, gdyż podjazdy szeroko szły, wszelako dwa zniósłszy i nikogo nie żywiąc, w przodek się wydostałem, od czego wielka księcia napadła konfuzja, albowiem zaraz począł suponować, iż jest otoczony i jako w potrzask lezie...“

— To dlatego to niespodziane cofanie się! — zawołał hetman. — Djabeł, czysty djabeł!

Lecz czytał coraz ciekawiej:

„Książę nie rozumiejąc, co się stało, jął głowę tracić i podjazd za podjazdem wysyłał, któreśmy też znacznie szarpali, iż żaden w tej samej liczbie nie wracał. Idąc zaś w przodku, wiwendę przejmowałem, groblem rozkopywał i mosty psuł, tak, iż z wielką fatygą postępować przed się mogli, nie śpiąc, nie jedząc, dnia i nocy bezpiecznej nie mając. Z obozu nie mogli się wychylić, bo ordyńcy nieostrożnych chwytali, co się zaś obóz

zdrzemnął, to m,u z łozy okrutnie wyli, oni zaś, myśląc, iż wielkie wojsko na nich następuje, przez całe noce w gotowości stać musieli. Czem książę do znacznej desperacji przywiedzion, nie wie, co ma począć, gdzie iść i jako się obrócić — dlatego rychle nań następować trzeba, póki terror nie przejdzie. Wojska ma sześć tysięcy, ale blisko tysiąca stradał. Konie mu padają. Rajtarja dobra, piechoty słuszne, Bóg jednak dał, iż to z dnia na dzień topnieje, a byłe nasze wojska ich dosięgły, to się rozlecą. Karoce książęce, część kredensu i rzeczy zacnych w Białymstoku zachwyciłem, z dwiema armatami, alem co większe potopić rnusiał. Książę zdrajca od ustawicznej cholery [1] silnie zachorzał i ledwie na koniu usiedzieć może, febris [2] nie opuszcza go dniem i nocą. Panna Borzobohata zagarnięta, ale chorym będąc, na cnotę jej nastawać nie może. Wieści takowe i konfesje [3] o desperacji od jeńców powziąłem, których moi Tatarzy przypiekali, i którzy, byle ich jeszcze raz przypiec, prawdę powtórzyć są gotowi. Zaczem służby moje pokorne J. W. Panu i hetmanowi memu polecając, o przebaczenie, jeślim w czem pobłądził, proszę. Ordyńcy dobrzy pachołkowie, i widząc siła zdobyczy, okrutnie służą“.

— Jaśnie wielmożny panie! — rzekł

---

[1] gniewu. [2] gorączka. [3] zeznania.

Oskierka. —-Już wasza wielmożność pewnie mniej żałuje, że Wołodyjowskiego tu niemasz, bo i ten temu wcielonemu djabłu nie wyrówna.

— To są zdumiewające rzeczy! — rzekł, biorąc się za głowę, pan Sapieba. — A nie łże-li on?

— To ambitna sztuka! On i księciu wojewodzie wileńskiemu prawdę w oczy gadał, ani dbając, czy mu miło słuchać, czy niemiło. Ot! ten sam proceder, co z Chowańskim, jeno Chowański miał piętnaście razy więcej wojska.

— Jeśli to prawda, to trzeba następować jako najprędzej — rzekł Sapieha.

— Póki się książę nie opamięta.

— Ruszajmy, na miły Bóg! Tamten mu groble rozkopuje, to i dognamy!

Tymczasem jeńcy, których Tatarzy w kupie przed hetmanem trzymali, poczęli, widząc przed sobą hetmana, jęczeć, płakać, nędzę swoją okazywać i różnemi językami litości wzywać. Byli bowiem między nimi Szwedzi, Niemcy i przyboczni Bogusławowi Szkoci. Pan Sapieha odjął ich Tatarom, jeść dać kazał i konfesaty bez przypiekania prowadzić.

Zeznania potwierdziły prawdę słów Kmicicowych. Więc wszystkie wojska sapieżyńskie ruszyły z wielkim impetem naprzód.

15